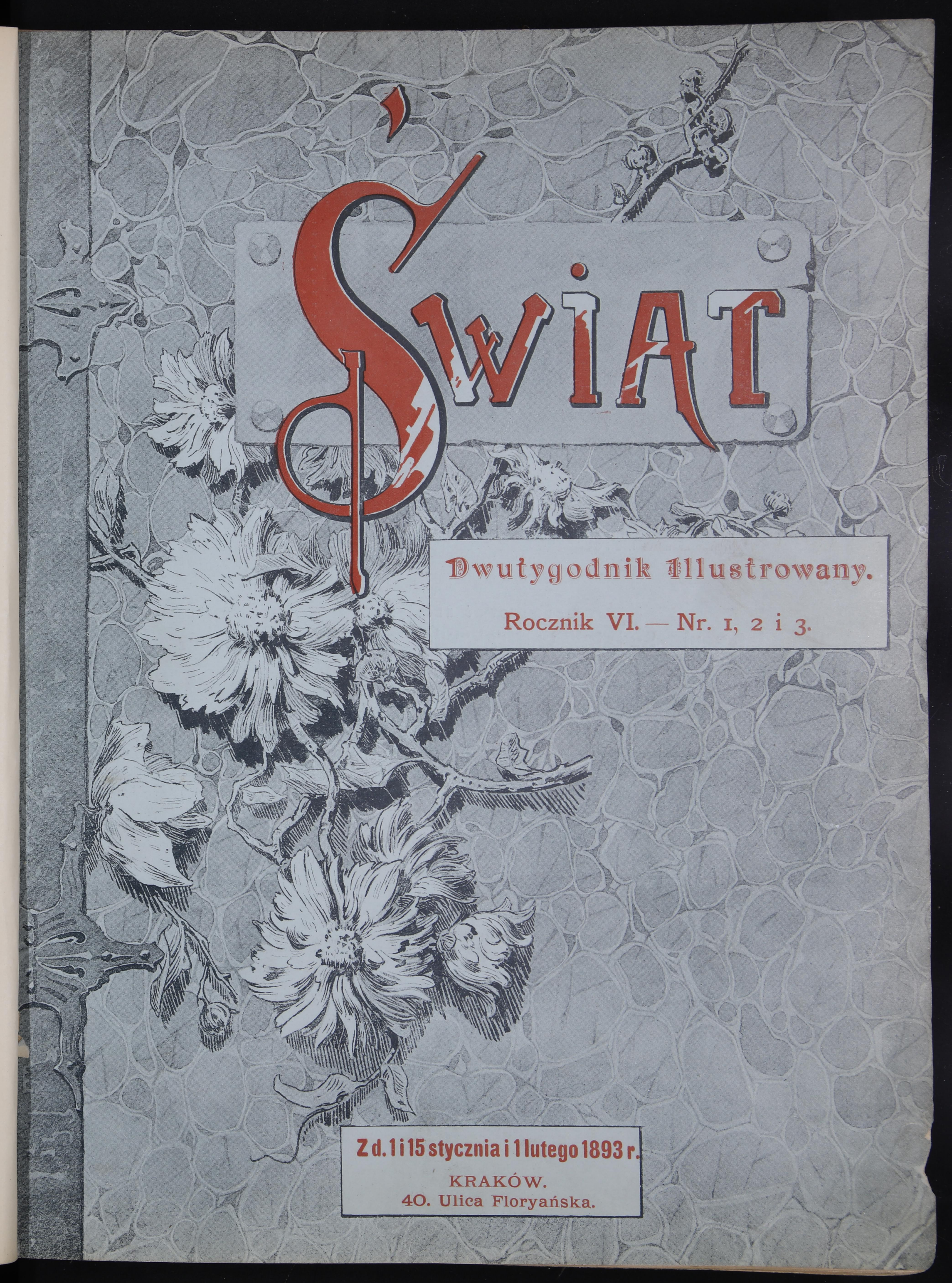




Świat

Dwutygodnik Ilustrowany.

Rocznik VI. — Nr. 1, 2 i 3.

Zd. 1 i 15 stycznia i 1 lutego 1893 r.

KRAKÓW.
40. Ulica Floryńska.

Treść 1, 2 i 3 numeru Świata

z dnia 1, 15 stycznia i 1 lutego 1893.

1. Winieta tytułowa na styczeń	przez	PIOTRA STACHIEWICZA.
2. „P...”, nowela	„	MICHAŁA BAŁUCKIEGO.
3. Stłuczony dzban	„	L. PILICHOWSKIEGO.
4. „Uroczę oczy”, komedia w 4-ch aktach	„	ZYGMUNTA SARNECKIEGO.
5. Wielkopolska w obrazach. „Swarzędz”	„	LUDWIKA STASIĄKA.
6. Włoszka	„	TEODORA AXENTOWICZA.
7. Siesta	„	TADEUSZA POPIELA.
8. Z teki szkiców	„	WITOLDA PRUSZKOWSKIEGO.
9. Stanisław Tondos w pracowni	„	JACKA MALCZEWSKIEGO.
10. Wanda	„	PIOTRA STACHIEWICZA.
11. „Zdało mi się”	„	MIRIAMA.
12. „Z Róży stulistnej”	„	F. W. CZELAKOWSKIEGO.
	przekład z czeskiego	MIRIAMA.
13. Piccola	„	WOJCIECHA KOSSAKA.
14. „O satyrach Krasickiego”	„	JÓZEFA TRETIĄKA.
15. Winieta tytułowa na luty	„	CZESŁAWA JANKOWSKIEGO.
16. „Z powodu najnowszego dzieła prof. S. Tarnowskiego”	„	STANISŁAWA ESTREJCHERA.
17. Jaki mróz!	„	Z. M. MICHAŁSKIEGO.
18. „Z literatury prawniczej francuskiej”	„	DRA W. L. JAWORSKIEGO.
19. „Dwa jubileusze literackie”	„	KAROLA J. NITTMANA.
	z dwoma portretami	HENRYKA DYRDONIA.
20. Parki wiejskie	„	KAROLA GUSSOWA.
21. Nowy Rok	„	PIOTRA STACHIEWICZA.
22. „Pamiętnik Wróblewskiego”	„	ALKARA.
23. „Przyjemności i cierpienia”	„	DRA A. ŻŁOTNICKIEGO.
24. Typy z paryskiego sądu policyi poprawczej	„	EDWARDA LOEVY'EGO.
25. „Kronika”	„	***.
26. „Od Redakcyi”	„	***.
Dodatek:		
„Tradycje Kodeńskie”. Opowiadanie z lat 1790—1792.	„	KAJETANA KRASZEWSKIEGO.
(Trzy arkusze: 1, 2 i 3).		

Prenumerować należy:

w Administracji „Świata” w Krakowie, 40. Ul. Floryańska, 40.

Prenumerata wynosi:

W Galicyi i całym państwie austriackiem:		w Poznaniu i całym państwie niemieckiem:	
Rocznie	12 złr. w a.	Rocznie	24 marek.
Półrocznie	6 „	Półrocznie	12 „
Kwartalnie	3 „	Kwartalnie	6 „ 50 fenigów.

We Francyi i wszystkich innych krajach: rocznie 30 franków; półrocznie 15 franków; kwartalnie 8 franków.

Zeszyt „Świata” pojedynczy 1 złr. w. a. — Potrójny zeszyt (Nr 1, 2 i 3), obecny, 2 złr. w. a.

Ogłoszenia po 5 cnt. od wiersza petitowego w szpalcie zajmującej trzecią część stronicy. Takież sam wiersz na okładce po 25 cnt.

Od Administracji „Świata”.

Prosimy jak najuprzejmiej o najrychlejsze zgłaszanie się z prenumeratą, nakład „Świata” bowiem jest niezmiernie kosztowny, musimy zatem ilość odbijać się mających egzemplarzy uregulować z góry.

Prenumeratorowie z roku bieżącego,

którzy prenumerowali „Świat” w roku przeszłym, otrzymają w końcu kwartału pierwszego lub na początku drugiego dokonanie premiowanej komedyi „Kraj” jako osobny dodatek, nie chcemy bowiem przez drukowanie w środku zeszytu, przerwanego przez poprzednią redakcyę utworu, zepsuć harmonii układu w roczniku; ten bowiem tworzyć powinien zamkniętą w sobie całość.

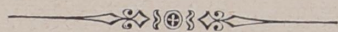
Skład główny na Lwów i Galicyę Wschodnią w księgarni Jakubowskiego i Zadurówicza.
Lwów. 10. Plac Maryacki. 10.

Redakcja „Świata”: Kraków, 40. Ulica Floryańska, 40.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Zygmunt Sarnecki.

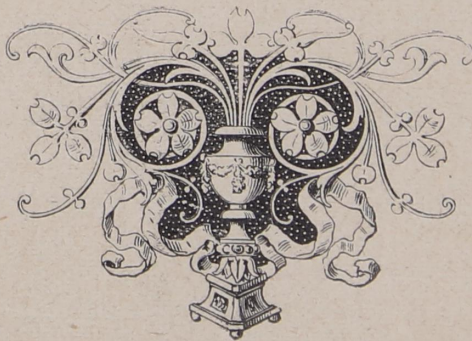
ŚWIAT

DWUTYGODNIK ILLUSTROWANY.



Rocznik Szósty.

1893.



KRAKÓW.
NAKŁADEM REDAKCYI „ŚWIATA“.

BIURO BADAŃ I DOKUMENTACJI ZABYTKÓW
15-213 w Białymstoku
ul. Mickiewicza 3/5

~~4077~~ 9530

05:82-3:7

SPIS RZECZY.

Dział literacki.

I. Powieści, Nowelle, Opowiadania.

MICHAŁ BAŁUCKI. „P...” Str. 1, 65.
KLEMENS JUNOSZA. „Icek podwójny”. Str. 89, 114, 137.
WALERYA MARRENÉ. „Kobiece Dole”. Str. 161, 185, 209, 233, 258, 281, 312, 331.
ADAM SZYMAŃSKI. „Pan Antoni”. Str. 305, 319.
MARYA JARMUNDÓWNA. „Ostatni cios”. Str. 353.
FRANCISZEK RAWITA. „Reka”. Str. 377.
FELICYAN FALEŃSKI. „O głupim Gawle”. Str. 401, 425, 449, 473, 500, 521, 545.

W dodatku książkowym:

KAJETAN KRASZEWSKI. „Tradycje kodeńskie”.

II. Dramaty i Komedye.

ZYGMUNT SARNECKI. „Uroczę oczy”. Komedya w czterech aktach. Str. 7, 68, 95, 144, 164, 187, 212, 238, 269, 290, 319.
ZELISŁAW ROMAN ORSZA. „Kraj”. Komedya w czterech aktach. (Dokończenie). Str. 335.
JÓZEF BLIŻIŃSKI. „Panna z posagiem”. Komedya w jednym akcie. Str. 404, 430, 452, 479, 535, 554.

W dodatku książkowym:

WIKTORYN SARDOU. „Teodora”. Dramat w pięciu aktach. Przekł. ZYGMUNTA SARNECKIEGO.

III. Poezye.

MIRIAM. „Zdało mi się”. Str. 26. „Poecie”. Str. 80. „Ronda smętne”. Str. 342.
WŁADYSŁAW CZELAKOWSKI. „Z róży stulistnej”. Przekład MIRIAM. Str. 27.
KAZIMIERZ TETMAJER. „Marzenie”. Str. 117. „Zamyślenie”. Str. 196. „Przecucie”. Str. 319. „List Hanusi”. Str. 348. „Exodus”. Str. 565.
JULIUSZ ZEYER. „Serce Pikanga”. Przekład MIRIAM. Str. 201.
TEOFIL LENARTOWICZ. „Michał-Anioł Buona-rotti”. Str. 257.
HELENA. „Co się dzieje z gwiazd promieniem?”. Str. 283.
ADAM STASZCZYK. „Mój Kraków”. Str. 312.
EL...Y (ADAM ASNYK). „J. Kollarowi”. Str. 361. „Prolog na otwarcie nowego teatru”. Str. 488.
EMIL VAN ARENBERGH. „Poezye”. Przekład MIRIAM. Str. 362.
ERNEST DEICHES. „Pielgrzym”. Str. 418.
OR-OT. „Z cyklu Stare Miasto”. Str. 349.
ANONYM. „Kornelowi Ujejskiemu”. Str. 482.
ZAWRAT. „Cieniom”. Str. 495.

IV. Literatura, Krytyka, Rozbiory, Sylwetki literackie.

DR. JÓZEF TRETIK. O satyrach Krasickiego. Str. 31, 75, 98.
DR. STANISŁAW ESTREICHER. Z powodu najnowszych dzieł prof. Stanisława Tarnowskiego. Str. 34, 82, 107. Z dzisiejszej poezji polskiej. Str. 176, 192, 235, 267, 321.
KAROL J. NITMAN. Dwa jubileusze literackie. Str. 39. Nowe powieści. Str. 531.

JAN KASPROWICZ. Nowe wydanie dzieł A. Mickiewicza. Str. 131, 175.
FERDYNAND HÖSICK. Pierwsza miłość Zygmunta Krasińskiego. Str. 148, 172, 199, 215, 246, 272, 295, 323, 344, 364, 380.
M. E. NEKANDA-TREPKA. Z najświeższej literatury angielskiej. Str. 152.
ZENON PRZESMYCKI. Jarosław Vrchlicki. Str. 155, 223, 248.
FRANCISZEK RAWITA. Ostatni romantyk. Str. 181, 205, 218, 242.
WŁADYSŁAW GROT. Teofil Lenartowicz. Str. 260, 283, 315.
DR. EDWARD PORĘBOWICZ. Urywek pierwszego brulionu „Pana Tadeusza”. Str. 265.
DR. HENRYK MONAT. Czas powstania *Anhellego* i znaczenie poematu. Str. 387, 418, 434.
LEOPOLD MÉYET. Rachunki księgarskie Juliusza Słowackiego. Str. 484.
ZYGMUNT SARNECKI. Nowa poezya. Str. 508.

V. Sztuka.

DR. ADAM BEŁCIKOWSKI. Artur Grottger w Krakowie. Str. 220.
KAROL J. NITMAN. Henryk Jarecki i jego nowa opera. Str. 240.
BOGUSŁAW ROZWADOWSKI. „Sen” Czesława Jan-kowskiego. Str. 275.
* * * Jan Matejko. Str. 497.

VI. Nauki, Psychologia, Historia, Pamiętniki, Materyały do historii, Rzeczy społeczne etc.

DR. WŁADYSŁAW LEOPOLD JAWORSKI. Z francuskiej literatury prawniczej. Str. 38, 85, 131, 147.
ALKAR. Pamiętnik Wróblewskiego z końca XVIII wieku. Str. 48. Tragikomedya kurlandzka. Str. 78, 100, 128, 170, 191. Widzenie. Str. 339.
DR. ANTONI ŻŁOTNICKI. Przyjemności i cierpienia. Str. 58. Szkoła a życie. Str. 273.
DR. FELIKS KONECZNY. Z teki mieszczańska polskiego. Str. 180, 195, 287, 322.
ERNEST DEICHES. Koniec Morstina. Str. 298, 324, 349, 368, 395, 411, 439, 458, 513, 559.
E. M. NEKANDA-TREPKA. Świat przyszłości. Str. 333. Ruchome uniwersytety w Anglii. Str. 443.
WALERYAN HECK. Krzysztof Kolumb w świetle najnowszych badań. Str. 371, 408, 435, 456, 510, 530.

VII. Z chwili bieżącej.

X. JAN GNATOWSKI. Leon XIII. Str. 104. — DR. MIKOŁAJ REY. Władysław hr. Koziembrodzki. Str. 117. — INFAUSTUS. Sprawa teatralna. Str. 123. — EMIL RADOST. Przadka, krajowe tow. tkackie. Str. 133. — * * *. Konkursowe kantaty nagrodzone. Str. 157. — M. E. NEKANDA-TREPKA. *Pall Mall Gazette*. Str. 179, 196. — WŁADYSŁAW PROKESCH. Doroczne posiedzenie Akademii Umiejętności. Str. 226. — ADAM RADOST. Dwóch prezydentów miasta Krakowa. Str. 276. — DR. J. L. JÓZEF SUPIŃSKI. Str. 301. — WŁADYSŁAW PROKESCH. Edmund Różycki. Str. 314. — BOGUSŁAW ROZWADOWSKI. Stary teatr. Str.

388. — ADAM PŁUG. Elviro Michał Andriolli. Str. 398. — DR. ANTONI ŻŁOTNICKI. Guy de Maupassant. Str. 414. — ANTONI KLECZKOWSKI. Nowy teatr. Str. 463. — ANTONI KLECZKOWSKI. Jan Zawiejski. Str. 469. — IGNOTUS. Uroczyste otwarcie teatru krakowskiego. Str. 490. — ADAM RADOST. Obcy o Matejce. Str. 498. — CELLO. Wystawa w 1894 roku. Str. 505, 534, 569. — DR. ANTONI J. KAROL KRUZER. Str. 565. — WŁADYSŁAW PROKESCH. Listy A. E. Koźmiana. Str. 566. — A. SMOLEŃSKI. Medal Mikołaja Zakliki. Str. 570. Kronika. Str. 61, 87, 111, 134, 158, 182, 206, 227, 255, 277, 303, 326, 351, 373, 399, 422, 446, 470, 495, 518, 543, 570. Bibliografia. Str. 64, 112, 136, 160, 183, 208, 231, 279, 304, 328, 352, 375, 400, 423, 448, 472, 496, 520, 544, 571. Nekrologia. Str. 64, 88, 112, 136, 160, 184, 208, 232, 256, 280, 304, 328, 352, 376, 400, 424, 448, 496, 520, 544, 572.

Dział artystyczny.

I. Rysunki oryginalne dla „Świata” wykonane. Piotr Stachiewicz. Winiety tytułowe. Str. 1, 89, 136, 185, 233, 281, 329, 377, 425, 473, 545. — Wanda. Str. 25. — Rok nowy. Str. 49. — Terenia. Str. 337. Czesław Jankowski. Winieta tytułowa. Str. 33. — Na rodzinnej ziemi. Str. 141. — W drodze. Str. 149. — Na obcej ziemi. Str. 173. Leopold Pilichowski. Dzbanek słuczony. Str. 5. Ludwik Stasiak. Wielkopolska w obrazach. Str. 9, 68, 121, 169, 333. — Procesya Bożego Ciała. Str. 237. — Wianki. Str. 289. — Szkice do pogrzebu Lenartowicza. Str. 297 i 303. Teodor Axentowicz. Włoszka. Str. 13. Witold Pruszkowski. Z teki szkiców. Str. 20 i 76. Janek. Str. 481. Wojciech Kossak. Piccola. Str. 29. Z. Myrton-Michalski. Jaki mróz! Str. 37. Edward Loewy. Typy z paryskiego sądu policyjnego poprawczej. Str. 57. Juliusz Kossak. Poślaniec z miasteczka. Str. 69. Pierwsza przejażdżka w maju. Str. 197. — Stefan Czarniecki. Str. 241. Henryk Dyrda. Medalion T. Lenartowicza. Str. 92. — Grottger w gronie przyjaciół. Str. 217. — Projekty na pomnik Tadeusza Kościuszki. Str. 547—552. Stanisław Fabijański. Kościół Bożego Ciała. Str. 104. Leon Wyczółkowski. Wajdelota. Str. 105. Grodzicki. Studium. Str. 120. Helena Kossobudzka. Lektorka. Str. 128. — Typ monachijski. Str. 332. — Z teki szkiców. Str. 360. Stanisław Tondos. Plac Maryacki. Str. 119. Józef Wodziński. Figiel błazna. Str. 177. Jan Matejko. Witraż do katedry lwowskiej. Str. 196. Zdzisław Alexandrowicz. Maryla. Str. 249. Tadeusz Popiel. Skałka. Str. 285. — Mary Lenartowicz. Str. 288. Stanisław Janowski. Wspomnienie z pogrzebu Lenartowicza. Str. 293. — W wiejskim przebraniu. Str. 313.

Roman Kochanowski. Śmieciarka. Str. 309.
J. E. Rzymkowski. Sarkofag nad grobem T. Lenartowicza. Str. 349.
Walery Eljasz. Sabala. Str. 369. — Do chóru. Str. 525.
Tevis-Brochocka. Babcia. Str. 381. — Wnuczka. Str. 385.
Władysław Wankie. Ze wschodu. Str. 429.
Rafael Armenise. Krzysztof Kolumb w łańcuchach. Str. 441.
Paweł Merwart. Święta Cecylia. Str. 461.
Kazimierz Pochwański. Jania. Str. 485.
Olga Boznańska. Studium. Str. 553.
Antoni Piotrowski. Sztuka polska. Str. 561.

II. Obrazy.

Tadeusz Popiel. Siesta. Str. 17.
Jacek Malczewski. Stanisław Tondos w pracowni. Str. 21.
Karol Gussow. Parki wiejskie. Str. 44 i 45.
Stanisław Janowski. Emancypantka. Str. 73. — Na jeziorze. Str. 421.
P. Mantegazza. Fałszywy ton. Str. 77.
H. Bachmann. Na plantacjach. Str. 81.
Alfred Wierusz Kowalski. Romantyk. Str. 97.
L. Alvarez. Przerwana lekcja. Str. 124 i 125.
L. Piccard. Trzydzieści lat temu. Str. 145.
O. Kraszewska. Po rauce. Str. 158. — Woń wschodniego kwiatu. Str. 189.
A. van Dyck. Złożenie do grobu. Str. 165.
Józef Wodziński. Przed baletem. Str. 193. — Na stanowisku. Str. 365.
E. Mazotta. Złośliwy Beppo. Str. 213.
Józef Brandt. Powrót zwycięzców. Str. 221. — Wyjazd na łowy. Str. 443.
E. Blaas. Wyznanie miłości. Str. 244 i 245.
Jan Matejko. Portret. Str. 341. — Otrucie Bonny. Str. 509. — Unia. Str. 532 i 533. — Gustaw Adolf przy grobowcu Władysława Łokietka. Str. 557.
Czesław Jankowski. Gwiazdka. Str. 345.
Fr. Ortlieb. Najświeższy numer *Śmigusa*. Str. 357.
L. Suchodolska. Wesoły model. Str. 368.
E. Fould. Śmieciarka. Str. 397.
Ludwik Stasiak. Na pustkowiu. Str. 405.

Mikołaj Barabino. Krzysztof Kolumb przed radą w Salamance. Str. 417.
G. B. Carlone. Krzysztof Kolumb wkopuje krzyż. Str. 420.
J. Chełmiński. Bitwa. Str. 436 i 437.
Wanda Strażyńska. Portret. Str. 541.

III. Portrety.

Dr. Piotr Chmielowski. Str. 40.
Kazimierz Bartoszewicz. Str. 41.
Teofil Lenartowicz. Str. 93.
J. Ś. Leon XIII. Str. 101.
Władysław hr. Koziebrodzki. Str. 117.
August Gorayski. Str. 132.
Dr. H. Biegeleisen. Str. 175.
Kornel Ujejski. Str. 220.
Henryk Sienkiewicz. Str. 224.
Nowi członkowie Akademii Umiejętności. Str. 225, 228 i 229.
Lotar Dargun. Str. 232.
Ojciec Paweł Pierling T. J. Str. 236.
Henryk Jarecki. Str. 240.
Dr. F. Szlachetowski. Str. 276.
J. E. Friedlein. Str. 277.
X. Ambroży Federowicz. Str. 284.
Edmund Różycki. Str. 300.
Felicjan Faleński. Str. 321.
Józef Supiński. Str. 325.
Guy de Maupassant. Str. 348.
Emil van Arenbergh. Str. 364.
Stanisław Koźmian. Str. 389.
Andriolli. Str. 432.
Portrety artystów starego teatru. Str. 444 i 445.
Tadeusz Pawlikowski. Str. 452.
Jan Zawiejski. Str. 456.
Tadeusz Błotnicki, Alfred Daun, Mieczysław Zawiejski. Str. 468.
Jakób Glikson, Mieczysław Sachorowski. Str. 389.
Józef Kotarbiński. Str. 462.
Dr. Leonard Piętak. Str. 476.
Antonina Hoffmanowa. Str. 492.
Portrety artystek starego teatru. Str. 493.
Portrety Jana Matejki. Str. 500, 501, 512, 513, 524, 556.
Alfred ks. Windischgrätz. Str. 528.

Adam ks. Sapieha. Str. 537.
Apolinary Jaworski. Str. 540.
Stanisław Madejski. Str. 560.
Karol Kruzer. Str. 564.

IV. Ilustracje.

Henryk Dyrdoń. Do artykułu „Prządka”. Str. 133 i 134.
Mieczysław Reyzner. Do nowelli „Kobiece dole”. Str. 163.
M. A. Sozański. Do artykułu „Teofil Lenartowicz”. Od str. 260—573.
Stanisław Fabijański. Do artykułu „Stary teatr”. Od str. 388—395.
Różnych artystów. Do artykułu „Krzysztof Kolumb w świetle najnowszych badań”. Od str. 409—416.
Stanisław Fabijański. Do artykułu „Nowy teatr”. Od str. 453—469 i 480—491.
Henryk Dyrdoń i Stanisław Fabijański. Do artykułu „Wystawa w 1894 roku”. Str. 504—517 i 529—536.

V. Rzeźby.

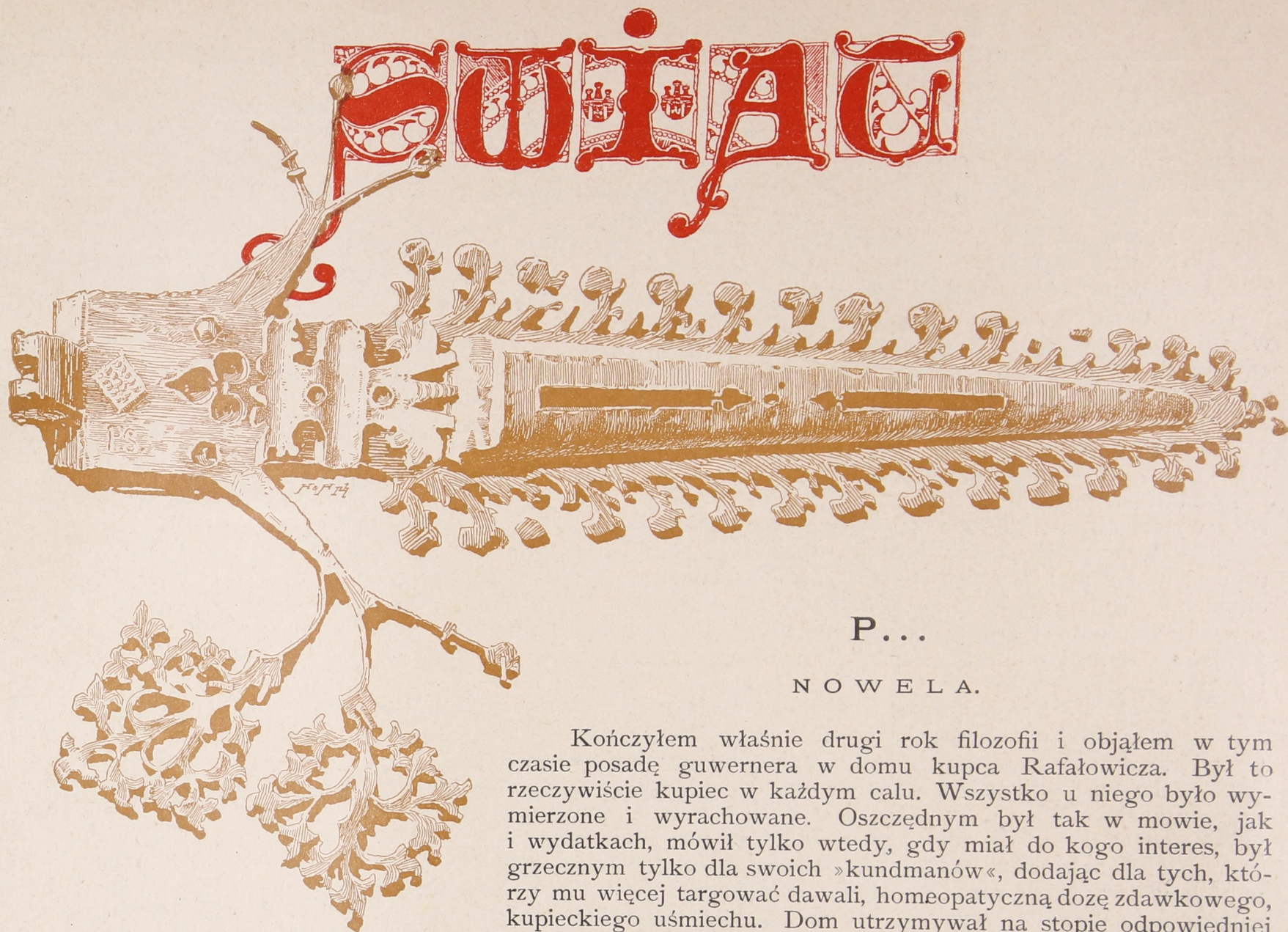
Cyprian Godebski. Pokój. Str. 205.
W. Marcinkowski. Pomnik arcybiskupa X. Dindera. Str. 248. — Miłość macierzyńska. Str. 477.
Leonard Marconi. Tadeusz Kościuszko. Str. 317.

Winiety drobne w całym roczniku:

Piotra Stachiewicza, Czesława Jankowskiego, Stanisława Janowskiego i Stanisława Fabijańskiego.

Dodatki nadzwyczajne:

Czesław Jankowski. „Zmartwychwstanie.” Trzy reprodukcje podług oryginalnych rysunków z tekstem *Zofii Jankowskiej*.
Artur Grottger. Rusinka. Wspaniała reprodukcja heliograviurowa.



P...

NOVELA.

Kończyłem właśnie drugi rok filozofii i objąłem w tym czasie posadę guwernera w domu kupca Rafałowicza. Był to rzeczywiście kupiec w każdym calu. Wszystko u niego było wymierzone i wyrachowane. Oszczędnym był tak w mowie, jak i wydatkach, mówił tylko wtedy, gdy miał do kogo interes, był grzecznym tylko dla swoich »kundmanów«, dodając dla tych, którzy mu więcej targować dawali, homeopatyczną dozę zdawkowego, kupieckiego uśmiechu. Dom utrzymywał na stopie odpowiedniej kupcowi pierwszej klasy, nie pozwalając sobie jednak przekroczyć oznaczonego budżetu. W czynnościach był regularny, jak zegarek; w wypłatach punktualny, w życiu porządny i przyzwoity. Konduita jego, równie jak półkoszulek i mankiety i kołnierze była nienagannej czystości, ale wszystko to takie sztywne, wykrochmalone i zimne, że można było w tem lody robić albo wachlarze do chłodzenia.

Żona jego, choć niby kobieta, była właściwie rodzaju nijakiego. Nie miała swojego zdania, gustu, żadnych własnych zachceń, upodobań, była echem swojego męża, ze wszystkim odwoływała się do niego ze stereotypowymi słowami: »Mężusiu, jak ty myślisz?« Bała się myśleć sama, bez jego pozwolenia; bała się coś zrobić, nawet w zakresie swoich kobiecych, gospodarskich zajęć, na własną rękę; nie sprawiła sobie sukni bez jego rady, nie zadysponowała obiadu bez jego potwierdzenia. Ta bierność i uległość, która dogadzała jego próżności, była niby dowodem jej przywiązania i stanowiła podwalinę ich małżeńskiego, szczęśliwego pożycia.

O ile ojciec i matka byli według wszelkich reguł porządni i bez wad, o tyle synalek, którego miałem szczęście a raczej nieszczęście być instruktorem, był wisusem w całym tego słowa znaczeniu. Serce miał niby najlepsze: nie przeszedł koło biednego, żeby mu nie wetknął w rękę parę krajcarów, nie wziął żadnych łakoci do ust, żeby się nimi nie podzielić z siostrą, służbą albo wreszcie z pieskiem Azorkiem; był czuły na nędzę ludzką i nieszczęście; ale też po za tem nic, prócz samych wad. Żywy, nieporządny, roztrzepany, próżniak, że nie idzie dalej. Przy lekcji siedział, jakby uwiązany; zdawało się, że się pokręci z niecierpliwości, gdy mu przyszło parę godzin siedzieć na jednym miejscu. Obracał się niespokojnie na stołku, którego nogi były popsute i popobijane od obcasów. Ledwie-że na stół nie wyszedł nieraz z butami. Musiałem ciągle go strofować i upominać: »Adasiu uważaj, Adasiu słuchaj, Adasiu siedź cicho«, — ale to się na nic nie zdało. Zrazu niby usłuchał, usadowił się na stołku, jakby na Bóg wie jak długo, podparł brodę obiema rękami i wlepił we mnie uważnie swoje mądre ślepki, ale za chwilę widać mu już było z oczu, że myśli jego het gdzieś z głowy i z pokoju wywędrowały i nic nie wie, co się do niego mówi. To też nauka nie czepiała go się wcale; co weszło jednym uchem, to wy-leciało drugim, a choć co nieco zostało czasem w głowie, to na drugi dzień wywiałło stamtąd bez śladu. Roztrzepanie zwiększało jeszcze to jego nieuctwo. Zapytać się go było o rzecz najłatwiejszą, to nieraz palnął takie głupstwo w odpowiedzi, że mnie aż podnosiło na stołku. A nie był bez zdolności. Czasem naprzykład odpowie-działo tak coś mądrze, że dziwić się trzeba było, zkad mu się to wzięło, a czasem znowu gdy go się zapytało choćby o »dwa razy dwa«, to wybałuszył oczy, myślał i myślał i nie wiedział co odpowie-dzieć. A zawsze miał potem na usprawiedliwienie swoje jakieś argumenta; najczęściej tłómaczył się słowami: »ale bo ja myślałem, że pan profesor nie o to pyta«. To było całe jego nieszczęście, że za dużo myślał, a za mało w uszy i głowę, co to za ptak, które lotki ma krótsze, które dłuższe, jakie ma opierzenie, obocze, że ma nogi brodne, podkasate, szczudlaste, spięte i t. d.; on niby patrzy na mnie i oczów nie spuszcza wcale, ale widzę mu po tych oczach, że nic nie wie co mówię do niego i o czem innem myśli. Jakoż rzeczywiście po chwili zapytuje mnie ni ztąd ni zowąd:

— Proszę pana profesora, a czy to prawda, że bociany dzieci na świat przynoszą?

Cóż mu tu miałem odpowiedzieć na tak głupie pytanie? Rozumie się, że przyznałem, iż tak jest.

— No, dobrze — powiada mi na to — to Zosię mogły przynieść, bo ona rodziła się w maju; ale ja przyszedłem na świat w grudniu, a wtedy przecież bociany siedzą sobie w najlepsze w Afryce; więc ktoś mnie właściwie przyniósł?

Byłem doprawdy w kłopotcie, co smarkaczowi odpowiedzieć. Zacząłem kręcić, jak mogłem, że niektóre słabsze bociany zostają u nas na zimę do tej czynności specjalnie, fałszowałem historię naturalną, żeby tylko jako tako wybrnąć z tej drażliwej kwestyi, a zakończyłem napomnieniem, że Adaś powinien przede wszystkim myśleć o tem, co się do niego mówi i tego słuchać. Ale to wszystko było u niego groch na ścianę, bo on właśnie wszystko to najlepiej słyszał, czego nie trzeba było. Czy to kucharka z parobkiem pokłóciła się w kuchni, czy na ulicy pies zaskowyczał albo katarynka się odezwała, on zaraz stawiał się, jak wyżeł do kuropatwy, i strzygł uszami w tamtą stronę, a uwaga jego rozbiegała się na wszystkie strony, jak woda przez palce, że ani rusz uchwycić.

Do tego jeszcze trzeba go było pilnować na każdym kroku, bo ledwie na chwilę spuściło się go z oczów, już wnet gdzieś coś zbroił, coś stłukł, z kimś się pocubił, gdzieś się powalał, coś rozdarł. To też chodził zawsze jak obdartus, powalany, rozczochrany, choć go myto i czesano po kilka razy dziennie, a kiedy pisał, to dziesięć razy więcej atramentu było na jego palcach, niż na kajecie, lubo i tam było żydów co niemiara.

Było to w istocie nie do wytłómaczenia, jak z rodziców tak systematycznych, porządných mógł się urodzić taki syn, który był żywym przeciwieństwem wszystkich ich zalet i przymiotów. Dałoby się to wyjaśnić chyba atawizmem; ale od pana Rafałowicza nie można było dowiedzieć się o tem, gdyż o ojcu swoim dyskretnie zawsze zachowywał milczenie, nie wiem dlaczego, a całą winę postępowania swego jedynaka, zamiast na dziadka, zwał na mnie i jak tylko Adaś coś zbroił, przeskrobał, on zaraz ku mnie zwracał swoje zimne, stalowe oczy i pytał:

— Panie Przepiórkowski, co to znaczy?

Czy Adaś miał podarte spodeńki, albo był nieumyty, albo nie umiał lekcyi, to mnie o to winił, jak gdybym za te 15 złr. wikt i stancję obowiązany był nie tylko uczyć jego syna, ale myć, prać, obszywać i jeszcze uczyć się za niego.

To też byłbym bez wahania porzucił tę lekcyę, która mi tyle kłopotu i zajęcia dawała, gdyby mnie nie zatrzymywało coś, co mi wynagradzało i to z dobrym procentem, mówiąc językiem Rafałowicza, wszystkie nieprzyjemności. Tem »cosiem« była rodzona siostra mego nicponia — Zosia.

Nie była ona piękna tak dalece, żeby malarzowi za model służyć mogła, ale miała jakiś nieopisany wdzięk w twarzy, w ruchach, jakiś czar w spojrzeniu, którym chwytala jak w siatkę serca ludzkie. Nie była to zalotność, ale raczej serdeczna naiwność, którą ujmowała sobie ludzi i zmuszała, żeby ją kochano. Ja przynajmniej pokochałem ją od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczyłem. Swoboda jej, naturalność, uprzejmość zrobiły na mnie takie wrażenie, jakbym się spotkał z osobą, z którą się już dawniej znałem. W tym domu zimnym, sztywnym, monotonnym — ona była dźwiękiem cudownym, kwiatem, co upajał wonią, promieniem, który rozjaśniał ponure ściany. Gdy weszła nieraz do mego pokoju, a wchodziła często, to żeby jej ołówek zastrugać, to kajet polinijować, to coś objaśnić, przetłómaczyć, wtedy pokój zdawał mi się weselszy, piękniejszy i gdyby była żądała nie żebym ołówek, ale palec mój własny zaciął scyzorykiem, tobym to był zrobił bez wahania, tak chętnie radbym był spełnić każde jej życzenie.

Brat jej wisus, który z taką trudnością pojmował przystawanie trójkątów, odrazu zmiarkował tę skłonność moją do siostry — i jak tylko coś przeskrobał i bał się kary, odrazu udawał się pod jej protekcyę, wiedząc, że będzie skuteczna. Urwisz wyzyskiwał tę sytuację na swoją korzyść z bezczelną śmiałością, wprowadzając nieraz w kłopot i mnie i Zosię. Gdy naprzykład nie chciała zadość uczynić jego prośbie, to jej zaraz groził w mojej obecności:

— Ej, Zosiu, bo powiem panu, co ty wczoraj o nim mówiła — i takim powiedzeniem wywoływał ogromne raczki na buzię siostry, a mnie drażnił niesłuchanie, bo nie wypadało przecież dopytywać się, co mówiła, a ciekawość mnie paliła, co ona o mnie mówić mogła.

Kiedy widział mnie czasem złym i zachmurzonym, a miał interes w tem, żeby mnie udobruchać, wnet zaczynał coś mówić o siostrze.

— Ona pana bardzo lubi — mówił mi raz, gdy chciałem, żebym mu pozwolił iść na ślizgawkę — powiada, że pan ma bardzo ładne oczy.

Przerwałem mu to paplanie z surową miną, strofując go, że się zajmuje tem, co do niego nie należy.

— No, kiedy ona tak mówiła, cóż ja winien temu! — tłómaczył się.

Burczałem go; ale swoją drogą cieszyło mnie to, co powiedział. On hultaj widać miarkował to, bo mimo zakazu ciągnął dalej:

— A pan bardzo lubi Zosię?

Udawałem, że nie słyszę pytania i pilnie czegoś szukałem w słowniku, a on znowu swoje:

— E, pan ją musi także bardzo lubić, bo ja widzę nieraz, jak pan przy obiedzie patrzy na nią. Raz to pan nawet łyżką do ust trafić nie mógł, jak się pan tak zagapił na nią i półkoszulek pan sobie przez to powalał pomidorową zupą.

— Adasiu! — zawołałem groźnie i spojrzałem karcącym wzrokiem.

— Niech się pan nie boi — odrzekł mi na to wcale nie skonfundowany — ja nie powiem nic tacie, bo gdyby się tatko dowiedział, toby pan wnet wyleciał z naszego domu, a ja nie chcę, bo ja pana wolę, jak tych kilku, co tu było przed panem.

Takimi mowami wprowadził smarkacz mnie i siostrę w bardzo kłopotliwe położenie, bo wmawiając w nas miłość, doprowadził do tego, że przy spotkaniu rumienić się musieliśmy oboje, spuszczaaliśmy oczy i nie wiedzieliśmy, jak mówić ze sobą. Zachowywaliśmy się względem siebie, jakbyśmy rzeczywiście byli zakochani. Co do mnie

była to nawet najistotniejsza prawda; byłem zakochany po uszy, a miłość ta tak rozpierała mi piersi, że potrzebowałem koniecznie wypowiadać się z nią przed kimś, a że nie miałem nikogo takiego, do którego miałbym zaufanie i mógł przed nim zdradzić tajemnicę mego serca, więc postanowiłem powiedzieć to jej samej. Ustnie jednak nie byłbym śmiały uczynić tego za nic w świecie, więc umyśliłem sobie piśmiennie wyrazić jej moje uczucia.

Trzy dni a raczej trzy noce męczyłem się nad wystylizowaniem listu, który miał odsłonić jej, co się w moim sercu działo. Udało mi się to wcale nieźle. Odczytując mój elaborat po kilkanaście razy, byłem sam nim wzruszony; były w nim miejsca, których nie mogłem czytać bez łez; nie wątpiłem więc, że i ją to poruszy. Jedno mi tylko stało na zawadzie, że bazgrałem, jak kura. W ćwiczeniach szkolnych, to uszło, ale w liście miłosnym wyglądało okropnie, karykaturalnie. Co tu robić?

Uczyć się umyślnie kaligrafii dla napisania listu miłosnego miałem za mało czasu, a moje uczucia niecierpliwiły się i chciały co prędzej wynurzyć się przed nią. Przyszło mi więc na myśl, czy nie dobrzeby było poprosić którego z moich kolegów szkolnych o przepisanie tego listu kaligraficznie, na czysto.

Przechodząc pamięcią wszystkich, którzy najładniej pisali, natrafiłem na jednego, syna bankiera Probsta, którego pismo robiło wrażenie najcudowniejszej litografii. Odszukać mi go nie trudno było, bo wiedziałem, że po ukończeniu gimnazjum pracował w kantorze swojego ojca; więc jednego dnia udałem się tam do niego z moją prośbą.

Zgodził się bardzo chętnie, pochlebiało mu to nawet, że jego pismo tak mi utkwilo w pamięci, że nie zapominałem o niem po paru latach. Odrazu zabrał się do pisania i wśród stosu papierów bankowych, giełdowych sprawozdań, szczotów, przenosił na ozdobny listowy papier płomienne, pełne uczucia słowa moje z miną taką spokojną, obojętną, jakby pisał konto albo weksel; nie wiem nawet, czy wiedział dobrze, co pisał, bo wśród pisania rozmawiał ze mną, rozpytując się, co robię teraz, jak mi się powodzi, na jaki wydział chodzę, kiedy zdaje egzamina i t. d. Mimo to napisał list bez błędu.

— A teraz podpis — rzekł po przeczytaniu. — Czy sam podpiszesz?

— Ale cóż znowu? List przecież cały musi być pisany jednym charakterem.

— Więc kogóż podpisać?

— Kogo? — rzekłem zmieszany, bo doprawdy byłem w kłopotcie, jak się podpisać. Przepiórkowski w liście miłosnym wydawał mi się zbyt trywialnym, a imię Paweł znowu zanadto poufałe.

— No, więc jakże? — dopytywał się Karol, maczając pióro w kałamarzu.

— Napisz napisz samo P.

— Samo P? O! to jakaś romantyczna historia. Więc samo P?

— No, i kilka kropek można.

— Tak, kropki nie wiele kosztują, a dużo mówią. A teraz adres.

— Adresu nie potrzeba — rzekłem z pośpiechem. — List pójdzie prywatną drogą.

Łatwo mi było powiedzieć: prywatną drogą, ale gdy przyszło do wyszukania tej prywatnej drogi, pokazało się, że to nie było tak łatwo. Oddać jej wprost — nie wypadało; podrzucić w pokoju — mógł kto inny zamiast niej znaleźć, na przykład matka; przez Adasia posłać nie chciałem, boby to uchybiało mojej powadze nauczycielskiej i stawiało mnie w dziwnym stosunku do niego. Trzeba więc było szukać innego sposobu. Przypadek szczęśliwy pomógł mi w tym względzie.

Jednej niedzieli pani Rafałowiczowa z powodu fluksyi nie mogła wyjść z domu i Zosia sama poszła do kościoła.

— Teraz, albo nigdy! — pomyślałem sobie — lepszej sposobności nie znajdę. Skoro będzie wracać z kościoła, wręczę jej ten list przez publicznego posłańca.

Pobiegłem co prędzej pod studnię, gdzie stała gromadka ekspresów w niebieskich bluzach i czerwonych czapkach, skinałem na jednego z nich, który mi się najodpowiedniejszym wydawał do tej sekretnej misyi, wręczyłem mu list i rzekłem:

— Staniecie w bramie tej kamienicy żółtej, tam, na rogu ulicy; nieza długo będzie wchodzić tam panienka, jasna blondyna, w popielatym okryciu, w białym boa.... i oddacie jej ten list.

— A jak się nazywa?

— Nazwiska nie potrzeba.

— A od kogo mam powiedzieć?

— Powiecie.... jeden pan.... nic więcej.

— A odpowiedzi nie będzie?

— Żadnej.

Dałem mu wszystkie szóstki, jakie miałem w kieszeni i wysłałem na stanowisko, a sam ukrywszy się w sieni domu naprzeciwko, oczekiwałem z bijącym sercem stanowczej chwili.

Nadeszła wreszcie. Pomiędzy tłumem ludzi wracających z kościoła, ujrzałem popielate okrycie i białe boa; to była ona. Weszła w bramę tak szybko, że posłaniec gapa nie spostrzegł się i pozwolił jej przejść; dopiero po chwili się zmiarkował, pobiegł za nią i podał jej list. Spojrzała na niego zdziwiona, o coś się pytała, widocznie wahała się czy przyjąć, czy nie. Po chwilowym namyśle wyciągnęła wreszcie rączkę z mufki, by wziąć list, gdy w tem jakiś mężczyzna, wchodzący do kamienicy, zasłonił mi ją. Czekałem niecierpliwie rychło się usunie, abym mógł zobaczyć, czy wzięła list, czy nie; tymczasem ów mężczyzna zamiast się usunąć, stanął tuż przy niej i naraz zobaczyłem list mój w jego rękach; równocześnie poznałem, że to był jej ojciec, który z groźną miną przystąpił do ekspresa i zaczął go o coś wypytywać.

Zdretwiałem cały z przerażenia i zaćmiło mi się w oczach. Kiedy po jakimś czasie przyszedłem nieco do siebie i spojrzałem znowu, się, w której przed chwilą tak tragiczna dla mnie rozgrywała się scena, była już pusta. Ani ekspresa, ani ojca, ani jej — tylko wielki znak zapytania.

— Co dalej? Co teraz będzie? Co czynić mi należy? Czy mam jeszcze po co wracać tam do domu tej

chodzącej tabliczki mnożenia, która się nazywała Rafałowicz i przez dziwny fatalizm losu była ojcem mego ideału? czy uciekać, gdzie mnie oczy poniosą? — Takie jednak fugas chrustas wydawało mi się niegodnem bohaterą tragicznego romansu, za jakiego się miałem w tej chwili i postanowiłem bądź co bądź stawić czoło przeciwnościom i wracać do domu, choćby mnie tam nie wiedzieć co spotkać mogło. Szło mi głównie o nią, żeby ona nie cierpiała niewinnie w tej sprawie i niby rycerz stający w obronie swojej damy poszedłem na górę z taką miną, z takim bohaterskim nastrojem, że żałowałem, iż pod ręką nie było gdzie malarza, albo poety, albo przynajmniej fotografa, któryby postać moją uwiecznić mógł dla potomności.

We drzwiach utknąłem na Adasia, który przez dziurkę od klucza usiłował zajrzeć do wnętrza pokoju i nasłuchiwał.

— A ty co tu robisz? — zapytałem groźnie, chwytając go za kołnierz.

Dał mi znak palcem, przykładając go do ust, abym milczał.

— Co się stało? — spytałem.

— Nie wiem, proszę pana, ale coś de grubis stać się musiało, bo ojciec zły, jak go jeszcze nigdy nie widziałem, Zosia beczy w swoim pokoju, a mnie wyrzucili za drzwi, że byłem zanadto ciekawy.

Z całej gadaniny malca, to jedno miało dla mnie największą doniosłość, że Zosia płacze.

— Ona nie powinna płakać — rzekłem sobie w duszy i z tem postanowieniem nacisnąłem mocno klamkę i wszedłem do jadalnego pokoju.

Koło stołu, nakrytego już do obiadu, chodził dużymi krokami pan Rafałowicz, wzburzony i o dziwo, z pomiętym gorsem. Był tak zajęty jakimiś myślami, że nie spostrzegł mnie wcale — i chodził dalej w okół. Dopiero gdy żona jego wysunęła się cicho z pokoju córki, zwrócił się ku niej i zapytał ostro, krótko:

— Cóż? Przyznała się?

— Nie. Przysięga się na wszystkie świętości, że nie wie, ktoby to mógł pisać, że nie zna nikogo takiego. I oddała list mężowi.

— A pan — spytał po chwili Rafałowicz, zwracając się nagle do mnie i pokazując list — nie znasz przypadkiem tego pisma? Nie wiesz czyje to być może?

W pierwszej chwili chciałem upaść mu do nóg i wyznać wszystko; już nawet miałem na ustach pierwszy wyraz, ale usłyszawszy jak papa zaczął się odgrażać, że na policję, do kryminału odda tego śmiałka, który poważył się w ten sposób ubliżyć ich córce, powstrzymałem się z tym aktem skruchy, bo nie miałem wcale ochoty przespacerować się przez ulicę w towarzystwie policyantów i być raz na zawsze pozbawiony możliwości widywania mego anioła.

Postanowiłem więc nie przyznać się.

Zresztą dlaczegóż się miałem przyznawać? Wszak pismo było nie moje. Oddałem więc z przybraną powagą i udanym spokojem list, oświadczając, że to pismo mi całkiem obce.

— Głupi byłem, że nie kazałem zaraz aresztować ekspresa. Onby nam był wszystko wyśpiewał — rzekł Rafałowicz.

— To prawda — powtórzyła żona jak echo, a po chwili ośmieliła się spytać:

— I nic ci nie powiedział od kogo?

— Powiedział, że jakiś pan go posłał.... i nim ja miałem czas przeczytać ten list, zniknął mi gałgan z oczów. Nie mogę sobie nawet przypomnieć, jak wyglądał.

Odetchnąłem. Z ekspresem zginął ostatni ślad, po którym mogłem być poznany. Czulem się już zupełnie bezpiecznym.

— A może to ktoś taki, co bywa w naszym domu? — odezwał się kupiec po chwili namysłu.

— Wiesz ty, to bardzo być może — powtórzyła żona. — Może się zakochał w Zosi, a że nie śmiał, więc chciał w ten sposób....

— Ależ to żaden solidny człowiek tak nie robi, to waryactwo w ten sposób oświadczać się pannie. Czy to ona nie ma rodziców?

— To prawda. Tylko może to teraz taka moda.

— P... P... kto to być może? — mówił, jakby do siebie pan Rafałowicz.

— P...? — spytała żywo żona. — Czekajno, czy to nie będzie przypadkiem Paluszkiewicz?

— Paluszkiewicz?... E! nie, to na niego nie wygląda. Onby nie robił takich ceregieli. Za bogaty jest na to i za stary. Gdyby mu się Zosia podobała, toby się nam wprost oświadczył.

— To prawda.... A Szczutowski?

— No to S.

— Ale mu Piotr przecie na imię. Mógł się podpisać imieniem. W listach miłosnych to uchodzi.

— Nigdy jednak nie zdradził się ze swoją skłonnością do Zosi. Lubi u nas grywać w taroka, smakuje mu bardzo nasza kuchnia, ale żeby mu Zosia się podobała, o tem nigdy nie wspomniał i ja wcale nie zauważyłem tego. To chyba kto inny.

Stałem jak na rozżarzonych węglach podczas tej rozmowy, bo myślałem sobie, jak tak zacząć badać, dochodzić, tak dojdą wreszcie do mnie. A wtedy....

— A jakże Szrotowi na imię, czy nie Pankracy? — spytała po chwili żona.

— Nie, jemu Józef, a Pankracy to jego brat; ale ten już od sześciu lat żonaty i nie zna Zosi wcale.

— To prawda; więc chyba kto inny.

— Ale kto?

— Przepiórkowski! — odezwał się nagle głos Adasia za drzwiami, który widocznie podsłuchiwał.

— Masz tobie — rzekłem sobie — zginałem, przepadłem — i czekałem z rezygnacją, jakimi słowami wybuchnie na mnie oburzony Rafałowicz. Ale ten, zamiast zwrócić się do mnie, pobiegł do drzwi i uchyliwszy je nagle, zawołał gromkim głosem:

L. PILICHOWSKI.



DZBANEK STŁUCZONY.

— A ty urwisie jakiś, nie pójdziesz mi ty?... Panie Przepiórkowski, dlaczego Adaś wałęsa się po sieni, zamiast się uczyć?

— Dziś niedziela — odrzekłem. — Zresztą już i tak pora obiadowa.

— Adaś za karę nie dostanie obiadu. Zosia także będzie jadła w swoim pokoju — zadysponował kupiec, a o mnie nic ani słowa nie wspomniał, choć urwisz Adaś zdradził mnie przed nim. Śnać nie przypuszczał, żeby jakiś tam mizerny bakałarz śmiał podnieść oczy na córkę kupca pierwszej klasy. Ani mu to przez głowę nie przeszło, choć podwójne P w moim imieniu i nazwisku, powinno było obudzić w nim pewne podejrzenie. Siadł najspokojniej do obiadu, a widząc, że nie siadam, wskazał mi ręką stół i rzekł:

— Panie Przepiórkowski, proszę.

O liście i o córce nie było już mowy przy obiedzie. Mówiono o nagłym podniesieniu się cen cukru, na czym pan Rafałowicz spodziewał się zarobić jakie kilka tysięcy.

W ciągu tygodnia także nie było już mowy o tem, bo pan Rafałowicz, spiesząc się do interesu, nie miał czasu na dłuższą rozmowę z rodziną. Wszystko więc wracało powoli do zwykłego porządku i Zosia raczyła się znowu pokazywać przy stole ku wielkiej mojej radości, z początku błada, mizerna i z zaczerwienionymi od płaczu oczami, ale potem powoli wrócił rumieniec, uśmiech i humorek — i sprawa listu poszła już zupełnie w zapomnienie.

Aż tu jednego dnia, tak może w dwa tygodnie po wyżej opowiedzianym wypadku, pan Rafałowicz przy końcu obiadu, podczas którego był niezwykle roztargniony, gdyśmy się już rozchodzić mieli, odezwał się do mnie:

— Panie Przepiórkowski, zostań pan, proszę, mam do pana interes, i ty nie odchódź — powiedział do żony, która już będąc na wychodnem, wróciła się posłuszna rozkazowi. Tylko dzieci i dwaj subjekci wyszli. Czy Adaś nie został za drzwiami i nie podsłuchiwał, za to bym ręczyć nie mógł. W każdym razie zazdrościłem mu, że był już za drzwiami, bo przeczuwałem coś niedobrego.

Gdyśmy zostali sami, pan Rafałowicz wyjął jakąś kopertę z kieszeni i zwracając się do żony rzekł:

— Matka, dajno ten list.

— Jaki list, mężusiu?

— No, ten, co to go Zosia dostała przed paru tygodniami.

Gorąco mi się zrobiło na wspomnienie tego listu i pomyślałem sobie: o! źle, coś niedobrego z tego wypadnie.

Pani Rafałowiczowa tymczasem wyszukała w komodzie między bielizną ów list i podała go mężowi, który zbliżywszy się do okna, zaczął porównywać go z kopertą, którą trzymał w ręku.

— Panie Przepiórkowski, proszę pana tutaj, bliżej, bliżej tu, do mnie; no i ty chodź także — rzekł do żony. — Jak wam się zdaje, czy to pismo i to pismo nie jest jedno?

— Jak dwie krople wody — zawyrokowała pani Rafałowiczowa.

Ja się nie odzywałem, bo niepodobna było zaprzeczyć. Oba pisma były zupełnie podobne i jednako starannie kaligraficznie wykończone.

— A więc jesteśmy na tropie autora tego listu — zakonkludował poważnie Rafałowicz, a widząc, że żona patrzy na niego pytającym wzrokiem i nic jeszcze nie rozumie, zaczął jej tłumaczyć:

— Ten bilet — tu pokazał dużą kopertę z biletym wizytowym — dostałem przed godziną od Probsta, z zaproszeniem na zaręczyny jego córki z baronem Kurzem. Ponieważ pismo to zgadza się zupełnie z pismem w liście do Zosi, więc list ten musi pochodzić z kantoru Probsta. Idzie tylko o to, żeby się dowiedzieć, kto pisał to zaproszenie, a odnajdziemy autora listu. No, rozumiesz teraz?

— Jak ty to mądrze wszystko wykombinowałeś — rzekła pani Rafałowiczowa, patrząc z podziwem na męża.

Ja nic się nie odezwałem, bo głos poprostu uwiązł mi w gardle z przestachu, gdy cała ta sprawa z listem, którą uważałem już za pogrzebaną, nagle zaczęła znowu wychodzić na wierzch i było wszelkie prawdopodobieństwo, że się wydać musi. Fatalny, nieprzewidziany zbieg okoliczności sprzysiągł się na moją zgubę. Gdybym mógł przynajmniej zawiadomić młodego Probsta, żeby mnie nie wydał. Ta myśl, jak promień nadziei, błysnęła mi w głowie, ale Rafałowicz i tę nadzieję udaremnił, bo biorąc kapelusz rzekł:

— Idę prosto do Probsta, a za godzinę będę już wiedział wszystko.

Nie miałem wcale ochoty czekać na jego powrót, bo wiedziałem z czem wróci. Radbym był jak najdalej znajdować się w tej chwili i dlatego zaraz po wyjściu Rafałowicza chciałem nieznacznie wynieść się z domu, ale pani Rafałowiczowej zachciało się grać ze mną w garybaldkę i zatrzymała mnie.

— Ha, darmo — pomyślałem sobie — nikt nie uniknie swojego losu! — i usiadłem z poddaniem się i rezygnacją do garybaldki, oczekując z bijącym sercem powrotu groźnego ojca najdroższej Zosi.

Co ja wycierpiałem przez tę godzinę, to się opowiedzieć nie da. Fantazja moja wymyślała najrozmaitsze tortury moralne, które mnie czekały po powrocie ojca, przewidywałem, jak ambitny kupiec będzie się oburzał, że śmiałem podnieść wzrok na jego jedynaczkę, jak będzie groził, wymyślał, i nie wiedziałem, co mi właściwie wtedy czynić należy, jak przyjąć jego groźby, obelgi, przekleństwa. Gdyby to nie był ojciec Zosi, sprawa byłaby łatwa, postawiłbym się ostro, na obelgę odpowiedział obelgą, palnął słowa prawdy, w końcu wyzwaliłbym i rzecz skończona. Ale przez wzgląd na Zosię wypadało mi go oszczędzać i hamować się. Te myśli tak mi zaprzętały głowę, że popełniałem przy garybaldce tysiączne nedorzecznosci i pomyłki, z czego pani Rafałowiczowa korzystała i wygrywała, co ją cieszyło.

(Dokończenie nastąpi).

MICHAŁ BAŁUCKI.



UROCZE OCZY.

KOMEDYA W CZTERECH AKTACH.*)

OSOBY:

KASZTELANOWA.
MATYLDA, }
KAROLINA, } jej wnuczki.
TERENIA, }
PETRONELLA.
SZAMBELAN, mąż Matyldy.
HRABIA, mąż Karoliny.

KSIĄŻĘ ZDZISŁAW.
REJENT.
LUDWIK.
MACIEJ, kamerdyner.
ERAZM, kucharz.
JÓZEF, lokaj.
GRZEŚ, chłopiec stajenny.

Rzecz dzieje się na wsi w majątku Kasztelanowej.

AKT I.

Scena przedstawia pokój w domu wiejskim, po staroświecku ale wytwornie umeblowany. W głębi drzwi potrójne oszklone prowadzą do ogrodu. Po lewej stronie dwoje drzwi bocznych; między nimi, nieco od ściany odstawiony fortepian. Na prawo w pierwszym planie okno otwarte na ogród. Za nim po tejże stronie drzwi do dalszych pokoi.

SCENA I.

TERENIA. LUDWIK.

LUDWIK (z prawej strony, w ogrodzie, zbliża się do okna, opiera się na niem i patrzy z miłością na Terenię, siedzącą i pogrążoną w dumania. Chwila milczenia).

Panno Tereso... Tereniu!

TERENIA (zrywa się przestraszona).

Co to jest? co się stało? (Spostrzegłszy Ludwika).
Ach! to pan. Jakżeś mnie przestraszył!

LUDWIK.

Przepraszam, bardzo przepraszam. Nie chciałem wyjechać w pole nie powiedziawszy pani dzień dobry. (Po chwili) Tereniu, zbliż się do okna, niech rączki twoje ucałuję.

TERENIA.

Nie, nie. Babunia już wstała, ubiera się, lada chwila może wejść tutaj. Zresztą, gniewam się na pana. Przeraziłeś mnie... i... nazywasz po prostu Terenią.

LUDWIK.

Bo cię kocham, całem sercem kocham, panno Tereso.

TERENIA.

Proszę mi o tem nie mówić.

LUDWIK.

Kiedy muszę. (Po chwili). Moja droga Tereniu...

TERENIA (przerywając).

Znowu Tereniu! znowu Tereniu!... Kara boska! Pan się tak do tego przyzwyczai, że i przy ludziach będziesz mnie Terenią nazywać. Ach! to do prawdy okropne. Przecież ja pana nie upoważniłam...

LUDWIK.

Czyż potrzebuję upoważnienia?... Miłość się odgaduje... a marzenia wspólne, które nas łączą...

TERENIA.

O! dziś nie mów o tem! (Zasłania sobie uszy). Wi-
dzisz, że nie słucham... że nic nie słyszę.

LUDWIK.

Wskoczę do pokoju i do uszka ci powiem, że cię kocham, kocham, kocham!

TERENIA.

A ja słuchać nie będę, nie będę, nie będę.

LUDWIK.

Raz, dwa... trzy. Skaczę do pokoju.

TERENIA (przybiegając do okna).

Nie, nie... drogi, kochany panie Ludwiku... jak mi pan dobrze życzysz, nie rób tego.

LUDWIK (całując jej ręce, które pochwyił).

Tereniu złota, jedyna... jak ja cię kocham! —
A ty mnie kochasz?... powiedz, czy mnie kochasz?

TERENIA (wysuwając ręce z charakterystyczną szczerą skromnością).

Ja?!... ja pana lubię.

LUDWIK (z żalem).

Tylko lubisz?

TERENIA.

Bardzo lubię.

LUDWIK (prosząc).

Kochaj!

TERENIA.

Nie mogę, nie wolno... Kocham moich, tam...
(spogląda w niebo) i babunię.

LUDWIK.

Och! babunia... surowa, gdera od rana do wieczora, skąpa...

TERENIA (z oburzeniem).

Panie Ludwiku!... (Po chwili). Babunia jest dobrą, bardzo dobrą. Wychowała mnie... Kiedy byłam małą, wątłą, bardzo chorą, skłonniejszą niż dziś do snów, unoszących nad ziemię, ona z poświęceniem własnego zdrowia czuwała nademną, od śmierci zasłaniała, jak anioł opiekuńczy.

LUDWIK.

Ale teraz...

TERENIA.

Gdyby wiedziała i teraz byłoby to samo. Na szczęście nie wie. Zabroniłam Petronelli zdradzać moją tajemnicę. Proszę źle nie mówić o babuni, bo pogniemy się na całe życie!

*) Autor zastrzega prawa swoje w obec scen polskich. (Przypisek Redakcyi).

LUDWIK (zmięszany).

I ja ją także szanuję i cenię... ale... ale nie uwierzysz, jak mnie nieraz oburza jej postępowanie despotyczne.

TERENIA.

Jesteś pan niewdzięcznikiem! Ona pana przed wszystkimi chwali.

LUDWIK.

Tak, chwali — lecz nieraz, kiedy niespodzianie oczy moje spotkają się z jej wzrokiem, czytam w nim nienawiść...

TERENIA.

Ach! jak przesadza!

LUDWIK.

Wstręt jakiś!

TERENIA.

Wstydz się, wstydz!... Nie daruję tego panu nigdy.

LUDWIK.

Choćbym przeprosił.

TERENIA.

Choćbyś przeprosił... Ale dość już tej rozmowy. Jedź pan do gospodarstwa, ja pójdę do babuni.

LUDWIK (chwytając ją za rękę i całując).

A kochasz mnie? powiedz... kochasz?

TERENIA (usuwając rękę właściwym sobie sposobem).

Powiedziałam już, że pana bardzo lubię. Czy to nie wyraźnie? (Wymawia z naciskiem). Bardzo lubię.

LUDWIK.

Ja zaś kocham całą duszą — całym sercem kocham!

TERENIA (zasłaniając sobie naprzemian to oczy, to uszy).

Nie słyszę... nie chcę słyszeć!... Nie widzę pana... nie chcę widzieć! (Po chwili opuszcza rękę). Jeszcze pan tu jesteś?... Uciekaj czempredzej!

LUDWIK (chwytając opuszczoną rękę Terenii i całując znowu).

Patrz, patrz... jestem posłuszny... Uciekam. (Odchodzi).

SCENA 2.

TERENIA (sama. — Patrzy przez okno).

Pocciwy!... jak to biegnie, jak się spieszy... Dobryś! masz tobie! wpadł na rabatę z narcyzami. Ulubione kwiatki babuni... Ach! złamał jeden... podeptał świeżo zagrabaną ziemię. (Przerażona). O mój Boże! potknął się o kamień... ledwie się nie przewrócił. (Wybuchając prawie dziecinnym śmiechem). Ależ bo jaki niezgrabny!... jaki niezgrabny! (Po chwili). No przecie już jest za furtką... Wsiada na konia uwiązanego do sztachet... Nie patrzy tu, nie widzi mnie... Ręcę, że mnie nie widzi. Chciałabym na niego zawołać. (Wychyla się przez okno i woła cichym, drżącym głosem). Panie Ludwiku! panie Ludwiku! (Uderza się dłonią po ustach). Cicho! jaka ja szalona! (Po chwili). Kłania się... zobaczył!... zobaczył!... (Odstępuje od okna, ale ciągle w nie patrzy. — Z westchnieniem). Pojechał. (Przechadza się po pokoju. Zaczyna nucić wesołą piosnkę i urywa. Po chwili nuci smutną piosnkę i także nagle urywa). Tak mi się w głowie kręci... tak smutno, tak ciężko na sercu... tak się w oczach

mroczy... (Siada na krześle, zakrywa twarz rękami i ciche łkanie wyrywa się z jej piersi).

SCENA 3.

TERENIA, PETRONELLA.

PETRONELLA (weszła drugimi lewymi drzwiami, pod pachą plik gazet, w rękę taca ze świeżym pieczywem. Idzie ku pierwszym drzwiom na lewo. Spostrzega Terenię, stawia tacę na fortepianie, kładzie obok gazety i zbliża się po cichu na palcach do płaczącej. Bierze w dłoń jej rękę i odsłania twarzyczkę).

Co to jest?!... moja sarenka płacze?... co to znaczy?

TERENIA (uśmiechając się, ociera łzy).

Nic, nic Petronelko.

PETRONELLA.

Czy cię babunia połajała?

TERENIA.

Ale nie. Babunia pewno jeszcze nie ubrana.

PETRONELLA.

Gdzie zaś. Widziałam ją, jak szła do stajni.

TERENIA (zrywa się z miejsca).

Widziałas, jak szła do stajni... a to chodźmy, biegnijmy...

PETRONELLA.

Poczekaj-no, poczekaj. Kasztelanowa nie wróci tak prędko, a łzy twoje mnie niepokoją. Nic nie ukrywaj przedemną. Powiedz, dlaczego płakałaś?

TERENIA.

Bez żadnego powodu.

PETRONELLA.

Może odebrałaś przykry list od Ludwika?

TERENIA (z oburzeniem w głosie).

Ale nie! on do mnie nigdy nie pisuje.

PETRONELLA.

I na cóż by miał pisać, kiedy może z tobą rozmawiać! Zresztą, jak prawdę kocham, czy to mężczyźni listy pisywać umieją, zwłaszcza do takiego niewinnego dziecka!... A ty do niego nie pisałaś?

TERENIA (j. w.).

Bój się Boga, Petronello, co mówisz!

PETRONELLA.

Nie — nie. Wiem, że nie... i dobrze, że nie. Więc powiedz, dla czego płakałaś?

TERENIA.

Sama nie wiem. W nocy dręczyły mnie jakieś straszne mary... Wstałam niespokojna, rozdrażniona... Pomimo, że marzenia senne spłoszył dzień słoneczny, jakaś zmora wciąż przygniatała mi piersi... Potem nagle, takie wesołe myśli przyszły mi do głowy, że śpiewałam i śmiałam się głośno. Przed chwilą nawet zanosilałam się od śmiechu... Później znowu tak mnie coś niespodzianie ścisnęło pod sercem, że usiadłam na krzeselku i rozplakałam się... ale bez powodu... jak cię kocham, bez żadnej przyczyny.

PETRONELLA.

Powiedz-że mi, co ci się śniło, ty... ty mała

WIELKOPOLSKA w OBRAZACH przez L. STASIAKA.



SWARZĘDZ.
Kościół. — Domy drewniane.

lunatyczko?... bo chociaż snom wiary nie daję, ale przyznać muszę, że są rzeczy na niebie i na ziemi... (Urywa i po chwili pyta żywo z wielkiem zajęciem). No, powiedz prędzej, co ci się przyśniło?

TERENIA.

Śniło mi się, że leżę nieżywa na mojem łóżeczku, w białej pościeli...

PETRONELLA.

Czekaj, czekaj sarenko. Mam tu przy sobie sennik. (Sięga głęboko do kieszeni i wydobywa z niej małą, mocno zabrukaną książeczkę).

TERENIA.

O! sen dzisiejszy nie ma żadnego znaczenia, chociaż mnie zmęczył i rozdrażnił nieco. (Marząc). Bo widzisz bywają sny anielskie... i zwykłe, ludzkie. Nie prorokuj napróżno... (z uśmiechem) prorocत्वom twoim nie uwierzę.

PETRONELLA.

Och! dziecino moja, jak prawdę kocham, wszakże to tylko zabawka... facecya i nic więcej!... Pościel mówisz? pościel? (czyta w książeczce). »Pościel — przybycie gości«. (Mówi). No, opowiadaj dalej laleczko najdroższa.

TERENIA.

Ubrano mnie w muślinową sukienkę, przyniesiono trumnę...

PETRONELLA.

Zaczekaj! (Przerzuca kartki). Trumna... trumna. (znajduje i czyta). »Trumna — niespełnione zamiary«. (Mówi do siebie szeptem). Ale jakie, jakie?

TERENIA.

Babunia zbliżyła się do mego łóżka. Była bardzo zmieniona... pocałowała mnie w czoło...

PETRONELLA.

Zatrzymaj się. (Szuka w książeczce). Pocałunek... jest! (czyta) »Pocałunek. Śnić o pocałunkach, znaczy być zdradzoną przez ukochaną osobę«.

TERENIA.

Potem włożono mnie do trumny, zakryto wiekiem... czterech ludzi uniosło ją na ramionach... Nagle trumna zaczęła lecieć ze mną w przepaść...

PETRONELLA (szukając w senniku).

Przepaść... przepaść...

TERENIA.

Rozbijała się o skały, drzewa, kamienie...

PETRONELLA (czyta).

»Przepaść — małżeństwo!«

TERENIA.

Trumna pękła na dwoje, a ja z niej wyleciałam... i przebudziłam się zmęczoną okropnie. Dlatego może jestem dziś taka dziwna... Śmiałam się bez powodu, płakałam bez przyczyny.

PETRONELLA.

No, no... jak prawdę kocham, nie ma nic złego w twoim śnie sarenko. Będzie po łzach wesele... tylko nie wiem czy z Ludwikiem.

TERENIA (niezadowolona).

Czego mnie nim prześladujesz?

PETRONELLA.

Bo, jak prawdę kocham, masz się ku niemu dziecino, a to rzecz niebezpieczna. Nie wiem, czy babunia zezwoli... Ale poczekaj, poczekaj, mam tu przy sobie karty. (Sięga głęboko do drugiej kieszeni i wyjmuję talię kart). Postawię ci kabałę. Zobaczymy, czy święty Antoni Padewski przeznacza ci go na oblubieńca.

KASZTELANOWA (za sceną. — Głos oddalony).

Tereniu!

PETRONELLA (chowa szybko karty do kieszeni).

Oj! później... potem. (Gazety chowa pod pachę i chwytając za tacę). Gdyby kasztelanowa czego potrzebowała, to mnie zawołasz. Przejrzę gazety w jadalnym pokoju, bo jeszcze o Anglii nie doczytałam do końca. (Wychodzi szybko pierwszymi drzwiami na lewo).

KASZTELANOWA (za sceną. — Głos bliżej).

Tereniu!

TERENIA (biegnie do drzwi oszklonych w głębi, za którymi ukazuje się Kasztelanowa).

Słucham!... jestem babciu!

SCENA 4.

KASZTELANOWA, TERENIA.

KASZTELANOWA (widocznie roznerwowana — z narcyzem w ręku).

Kto skakał po rabatach? Kto moje narcyzy, moje ulubione narcyzy połamał?... Kto?... powiedz, proszę.

TERENIA (bardzo zmięszana).

Kochana babuniu...

KASZTELANOWA.

Patrz mi prosto w oczy. Kto?... powiedz...

TERENIA (ciągle zmięszana, jąka się).

Ja... babuniu... widziałam... ja chciałam...

KASZTELANOWA.

Odgadłam od razu, że ty. Któżby inny!... Nie spuszczaaj oczu w ziemię... Przebaczam... już się nie gniewam. — Cóż to?... nawet mi dzień dobry jeszcze nie powiedziałaś!.. Powiesz mi dzień dobry, czy nie?

TERENIA (całując babkę w rękę).

Dzień dobry babuniu... Nie chciałam... przepraszam...

KASZTELANOWA (uderza ją lekko ręką po twarzy).

Oj! ty, ty, nic dobrego. Taka duża panna... Wstyd!... (W ciągłym ruchu, nerwowa. — Wyjmuje telegram z kieszeni). Odebrałam telegram. Obie twoje siostry dziś przyjeżdżają... z mężami.

TERENIA.

O dla Boga!

KASZTELANOWA.

Posłałam już po nich konie do stacyi kolei żelaznej. Za godzinę przybędą. Zajmuje mnie to i... (z westchnieniem) porusza. A ty nie cieszysz się, że je zobaczysz?

TERENIA.

Cieszę się... to jest nie... ach! mój Boże!... albo ja wiem. Babciu, ja się ich trochę boję... nawet bardzo. One takie wielkie damy!

KASZTELANOWA.

A ty taki kopciuszek. (Całuje ją w czoło, przechadza się i mówi po chwili). To przybycie, którego pragnęłam... i mnie wyprowadza ze zwykłego usposobienia. (Roztargniona). Niespokojna jestem... niecierpliwa, rozdrażniona. (Przechadza się.—Po chwili). Mów co do mnie, Tereniu. (Chodzi ciągle).

TERENIA.

Dobrze babciu. (Po namyśle, cichszym głosem). Ale o czym?

KASZTELANOWA (zadumana, jakby sama z sobą rozmawiała).

Dawne lata... stare wspomnienia, same smutki i żaloby... Całe życie cierpień i zgryzoty... (Staje nagle, jakby przebudzona). Mów co do mnie! (Terenia chce mówić i nie wie co). Rozerwij przykre myśli. (Popada znowu w zadumanie i chodzi). Kasztelan... mąż... kraju niedola i rodziny niedola... córka... zięć... (Po chwili). W kilka dni po urodzeniu Tereni, biedna Amelia...

TERENIA (szeptem).

Moja matka...

KASZTELANOWA.

Poszła do lepszego świata. — Szczęśliwa!

TERENIA (po cichu).

Biedna mama!

KASZTELANOWA (która dosłyszała, staje przed Terenią).

A ja, czy nie biedniejsza?!

TERENIA (z bólem).

O!

KASZTELANOWA (w ciągłym ruchu).

Pozostawiła dwie sieroty: mnie i ciebie. Siostry twoje, tak Matylda jak Karla, były już zameżne. Zjechały na pogrzeb, zabawiły tydzień i pojechały. Zdaje mi się, że nie mówiłam z nimi nawet. Przypominam sobie tylko, że ubrane były w czarne, żałobne suknie... i... że rzewnie płakały.

TERENIA (postępuje za Kasztelanową).

A ojciec mój, babuniu?

KASZTELANOWA (zatrzymuje się i patrzy na nią).

Podobny do ciebie, jak dwie krople wody. (Po chwili). Zaczny człowiek. (Przechadza się znowu). Ojciec twój, porwany zawieruchą, musiał pójść z innymi... daleko. Umarł na obcej, niegościnnej ziemi. Nie pożegnaliśmy go, ani ja stara, złamana boleścią i cierpieniem, ani ty, wówczas malutka. Nie mogliśmy za nim podążyć. Nie rzuciliśmy mu na trumnę grudek zmarzłej, ołowiem przepełnionej ziemi. (Zatrzymuje się przed Terenią łkającą cicho). Łzy płyną ci po twarzy. Patrz, ja mam oczy suche. Tyle się napłakałam, że już płakać nie mogę. Skamieniałam. — Terenia pewno nieraz mówi: jaka ta babunia zła, jaka surowa... jak mi ta stara babka dokucza...

TERENIA (rozczulona, całując jej rękę).

Och! nie... nie babciu moja droga.

KASZTELANOWA.

Przynajmniej myślisz tak niezawodnie; ale stara babka wie co robi, więc robi swoje. (Po chwili). Otrzej oczy i weźmy się do przygotowań na przyjęcie gości. Powiadają, że jestem skąpa... no tak, jestem oszczę-

dna... bardzo oszczędna, bo tak chcę; ale dziś niczego żałować nie będę. Przyjmiemy przybyłych wspa-
niale, jak nas stać na to... bo rozumiesz Tereniu, mnie stać nawet na zbytki.

TERENIA (obojętnie).

Dobrze babciu.

KASZTELANOWA.

Zawołaj mi Macieja i Petronellę. (Siada na fotelu po prawej).

TERENIA.

Dobrze babuniu. (Idzie do drzwi drugich na lewo i woła). Macieju! (Później do drzwi pierwszych po tejże samej stronie). Petronelciu! (Maciej i Petronella wchodzi).

SCENA 5.

CIŻ SAMI, PETRONELLA, MACIEJ, później ERAZM.

PETRONELLA (przy drzwiach po cichu do Tereni).

Czy pani kasztelanowa w dobrym humorze? czy się nie gniewa?

TERENIA (po cichu).

Nie, nie. (Petronella chyłkiem koło fortepianu cofa się w głąb, żeby się nie spotkać ze wzrokiem siedzącej i znowu w dumaniu po-
grążonej Kasztelanowej).

MACIEJ (z głębi migami przywołuje Terenię, a gdy ta się do niego zbliżyła, pyta po cichu).

Panienko, czy to babunia mnie wołała?... a nie gniewa się o co?

TERENIA (j. w.).

Nie, nie.

MACIEJ (odetchnawszy głęboko).

Dzięki Bogu. (Mimiczna gra między Petronellą a Macie-
jem. On jej, ona jemu wskazuje, żeby się pierwszy zbliżył do Kasz-
telanowej. Nakoniec stary kamerdyner rusza naprzód, jakby się skradał,
powoli, na palcach. Stanąwszy wreszcie przed Kasztelanową mówi).
Co jaśnie pani rozkaże?

KASZTELANOWA (jakby zbudzona ze snu).

Ha! jesteś... dobrze. (Po chwili). A panna Petro-
nella, czy przyszła?

PETRONELLA (przybiega żywo, staje przy fotelu kasztelanowej i mówi
niezmiernie szybko).

Jestem, jestem. Całuję rączki pani kasztelanowej. Przeczytałam już wszystkie gazety, jak prawdę ko-
cham, mogę zatem wyrecytować moje codzienne spra-
wozдание.

KASZTELANOWA.

Dziś nie potrzeba.

PETRONELLA (w uniesieniu nie zważa i pytuje dalej).

Salisbury miał mowę w Manchester, która wy-
warła silne wrażenie w Anglii i na kontynencie. Gladston się wścieka na Chamberlaina z powodu
obstrukcyi w sprawie bilu irlandzkiego. Prawda prze-
dewszystkiem, muszę więc dodać, że *Nord Allgemeine Zeitung* i oficjalna *Post* żartują sobie...

KASZTELANOWA (przerywając).

Ależ moja panno Petronello dziś nie chcę sły-
szec o polityce.

PETRONELLA (j. w.).

Ani nawet o Bismarcku? (Kasztelanowa porusza głową).
Rozstap się ziemio, jak prawdę kocham!... pani ka-

sztelanowa jeszcze kawy nie piła i polityka jej dziś nie zajmuje! Czy pani kasztelanowa przypadkiem nie chora?

KASZTELANOWA (surowo).

Panno Petronello zamilcz z łaski swojej.

PETRONELLA.

Jak prawdę kocham... (Kasztelanowa spogląda na nią groźnie. — Petronella się cofa). Już milczę, już milczę... Nie powiem ani słówka.

KASZTELANOWA.

I dobrze zrobisz moja panno Petronello. (Po chwili). Słuchajcie. Dziś przyjeżdżają nasze starsze panienki... (poprawia się) chciałam powiedzieć...

MACIEJ (z ukłonem).

Rozumiem: pani hrabina i pani szambelanowa.

PETRONELLA (na str. do Tereni).

A co, czy nie mówiłam, że goście przyjadą. Jak się pościel śni... goście niezawodni.

KASZTELANOWA.

Potrzeba wspaniale przyjąć... wystąpić. Niech panna Petronella będzie tak łaskawa zawołać Erazma.

PETRONELLA.

Lecę! (n. str.) Będzie łaskawa... (ze zdziwieniem poruszając głową) będzie łaskawa!... No, no, koniec świata, jak prawdę kocham. (Wychodzi głębia).

KASZTELANOWA (która szukała kluczy w kieszeni).

Proszę Macieja wyjąć srebra i piękną, holenderską, stołową bieliznę. (Dając klucze Tereni). Tereniu masz klucze od wielkich szaf w moim sypialnym pokoju. Otworzysz i wydasz.

TERENIA.

Dobrze babuniu. Czy wszystko?

KASZTELANOWA.

Wszystko: wazy, półmiski, kandelabry, nawet cebrzyki do zamrożenia szampana. Rozumiesz. — Maciej zejdzie do piwnicy. (Podaje mu kartkę). Spisałam tu wina, jakie przynieść należy.

MACIEJ (odbierając kartkę).

Jak za życia nieboszczyka ś. p. kasztelana.

KASZTELANOWA (spokojnie i poważnie).

Jak za życia ś. p. kasztelana. (Po chwili). Grzesia ze stajni wiaść do kredensu. Potrzeba go przyodziać. Zdejmiesz liberyę z kołka, co wisi w garderobie. Terenia ci otworzy. Czy wiesz, który klucz, Tereniu?

TERENIA (pokazując jeden klucz z pęka trzymanego w dłoni).

Wiem babciu... o, ten.

KASZTELANOWA.

Tak, ten. (Do Macieja). Grzesia zatem w liberyę ubierzesz... Maciej także się wyświeży, zgoli tę szkaradną brodę, włoży frak, biały krawat... rękawiczki.

MACIEJ.

Dobrze, jasnie pani.

KASZTELANOWA.

Dwóch was jednak do usługi za mało. Kogo by tu wziąć więcej?

MACIEJ.

Proszę jasnie pani, szczęśliwie się przytrafia. Dziś właśnie przyjechał mój syn, Józef. Stracił miejsce w Chodorowie, bo państwo wydzierżawili majątek i wyjechali za granicę.

KASZTELANOWA (przypominając sobie).

Józefek!... twój mały Józefek?

MACIEJ.

E! proszę jasnie pani już urósł. Duży chłop, większy odemnie...

KASZTELANOWA.

To dobrze. Niech zostanie; przyjmuję go. O zaślugach pomówimy wieczorem... Spodziewam się, że zbyt wiele wymagać nie będzie.

MACIEJ (kłaniając się ręką do stóp Kasztelanowej).

Zgodzić się, zgodzi; tylko nie ma liberyi ani fraka. Nie wiem, jak go ubrać.

KASZTELANOWA.

Jakoś to będzie; damy temu radę. (Wchodzi Petronella i Erazm). Dobrze, żeście przyszli nareszcie. Przynieście mi (Petronella się porusza) Maciej z Erazmem, z mego sypialnego pokoju kufer obity cielecą skórą. Stoi pod gotownią. (Maciej i Erazm wychodzą na prawo). Panna Petronella niech dziś nie kucharzowi nie żałuje. Proszę wydać wszystkiego suto, obficie...

PETRONELLA.

Oho! jak prawdę kocham, ja go znam. On mi całą spiżarnię i apteczkę zabierze. Człowiek bez żadnej kalkulacyi i umiarkowania.

KASZTELANOWA (żywo i ostro).

Niczego nie szczędzić! (Po chwili). Rozsądek wskaże co można i potrzeba, a co zbyteczne. (Maciej i Erazm wnoszą kufer. — Kasztelanowa rozdrażniona, prawie gniewna). Ach! nie ten. W tym znajdują się rzeczy ojca panienek. Stał na wierzchu... Prawda, że na wierzchu?

MACIEJ.

Tak, jasnie pani.

KASZTELANOWA.

Przynieście drugi... z pod spodu... większy. (Maciej i Erazm zabierają kufer i wychodzą. Kasztelanowa patrząc za odchodzącymi, zwraca się ku Tereni). To nasze najdroższe relikwie... pamiątki, które dla ciebie strzegę.

TERENIA.

Babciu moja droga, jakaś ty dobra! (Całuje jej rękę). Ach! ręce twoje takie gorące; widocznie jesteś bardzo wzruszona.

KASZTELANOWA.

To nic, nic... to tylko tak przed ich przybyciem. Jutro się uspokoję. (Maciej i Erazm wnoszą drugi kufer). No! przecie znaleźliście. Ten... ten właśnie. Tereniu podaj mi klucze. (Wybiera klucz z podanego jej przez Terenię pęka). Macieju, masz... otwórz. (Oddaje klucz kamerdynerowi).

MACIEJ (przyklęka i otwiera kufer).

Garderoba nieboszczyka ś. p. kasztelana. (Zaczyna wyjmować ubrania męskie jedno po drugim).

TERENIA (do Petronelli. — Obie oddalone trochę od grupy kasztelanowej i Macieja).

A to dla babci nie relikwie?

TEODOR AXENTOWICZ.



WŁOSZKA.

Według pastelu.

PETRONELLA (po cichu do Tereni).

Och! broń Boże!... Oszukiwał ją, zdradzał, za-
truł całe życie. Kasztelanowa nie była nigdy szczę-
śliwą, dla tego można się nie dziwić, że często bywa
nieznośna...

TERENIA (j. w.).

Bój się Boga, nie mów takich wyrazów o babci.

PETRONELLA (j. w.).

Kiedy, jak prawdę kocham, tak czasem do-
kuczy!...

KASZTELANOWA (ciągle siedząca i pochylona nad kufrem).

To co masz teraz w ręku Macieju, to zdaje się
frak szafirowy?

MACIEJ.

Tak, proszę jaśnie pani. Trochę pocięty przez
mole, ale jak się przewietrzy, oczyści, naprawi...

KASZTELANOWA.

Położ tu koło mnie na krześle. (Maciej kładzie).
Teraz zamknij kufer na klucz. (Maciej zamyka). Czy do-
brze zamknięty? na dwa spusty?

MACIEJ.

Na dwa spusty.

KASZTELANOWA.

Daj mi klucz. (Odbiera klucz). Zanieście kufer na
miejsce. (Maciej z Erazmem wynoszą kufer. Kasztelanowa spogląda
na leżące obok niej ubranie). Stary frak... ślubny frak. Przy-
pomina mi dawne (z westchnieniem) smutne dzieje. (Po chwili).
Mole z niego wylatują. (Chwyta rękami mola w powietrzu).
Ach! nie każdego w życiu tak schwycić zdołałam,
a wszystkie gryzły mi serce srożej, niż ten co toczył
weselną odzież świętej pamięci kasztelana. Świętej
pamięci! (Śmieje się gorzkim, ale cichutym śmiechem). Świętej
pamięci! (Łapie innego mola w powietrzu). A tuś mi szko-
dniku!... Świętej pamięci! (Z ironicznego śmiechu przechodzi
w rzewny smutek, pochyla głowę na piersi i szepcze). A świa-
tłość wiekuista niechaj mu świeci i niech odpoczywa
na wieki.

TERENIA (która się w nią wpatrywała, klęka przy niej wzruszona).

Babciu droga!

KASZTELANOWA (jakby się nagle ze snu zbudziła, patrzy chwilę na
Terenię nieprzytomnie, potem powraca do zmysłów, powstaje, łączy
klucz od kufra z całym pękiem i oddaje Tereni).

Idź moje dziecko, idź. Wydaj srebra i bieliznę
stołową. (Maciej z Erazmem wracają).

TERENIA (która razem z babką powstała).

Chodź ze mną Macieju.

MACIEJ.

Dobrze, proszę panienki. (Terenia i Maciej wychodzą
na prawo).

KASZTELANOWA (do Erazma, podając mu ćwiartkę zapisanego papieru,
którą wyjęła z książki kucharskiej, leżącej na stole).

Erazm ma tu cetkę. Naprzód śniadanie; za go-
dzinę. Wieczorem, o ósmej, obiad. Ma być dobry, suty,
smaczny... na dziesięć osób.

ERAZM (na twarzy bardzo czerwony; tradycyjny ubiór kucharski).

Kiedy, o ile słyszałem, cztery nam tylko przy-
bywa; domowych zaś mamy także czworo... to kal-

kulując dwa razy dwa... nie! dwa razy cztery...
wypadnie osiem, a nie dziesięć.

KASZTELANOWA (stanowczo, surowo).

Na dziesięć powiedziałam.

ERAZM (wzrokiem przebiegając cetkę).

Dobrze... dobrze!... ale jak mi panna Petro-
nella nie wyda wszystkiego co potrzeba... a kalkuluję,
że dużo będzie potrzeba... to ja za nic nie ręczę.

PETRONELLA.

Jak prawdę kocham, już nawet przy pani kaszte-
lanowej wydziwia, a co to będzie, kiedy sam ze mną
zostanie.

KASZTELANOWA (j. w.).

Panna Petronella wyda wszystko. Już kazałam.
(Zmieniając ton mowy). Erazm pokaże co umie. Goście
tacy co to potrafią poznać się... i ocenić kuchmistrza.
Erazm rozumie. Erazm przyjdzie po obiedzie na
kieliszek starego wina i po dukata... chciałam po-
wiedzieć po pięć złotych w srebrze.

ERAZM (uśmiechając się z niskim ukłonem).

Jaśnie pani... kalkuluję... powiedziała dukata.

KASZTELANOWA.

Niech-że będzie i dukata, ale Erazm musi się
popisać.

ERAZM.

Jaśnie pani może być spokojną. Kalkuluję, że
nie zawstydzimy się przed gośćmi. Człowiek nie dzi-
siejszy, jak potrzeba to i lody z pieca dać potrafi.
Ś. p. kasztelan bywało powiada do mnie...

KASZTELANOWA.

Wiem... wiem. Niech się Erazm śpieszy.

ERAZM.

Lecę do klucznicy, potem duchem wracam do
panny Petronelli. Kalkuluję, że wszystko w mig bę-
dzie gotowe. Całuję nogi, jaśnie pani. (Kłania się i wychodzi).

KASZTELANOWA (wskazując na frak).

Panna Petronella frak przewietrzy, wytrzepie,
oczyści...

PETRONELLA (mocno zdziwiona, bierze jednak frak do ręki).

Ten frak?!

KASZTELANOWA.

Nieinaczej. Potem odda go Józefkowi i dopilnuje,
aby nakryto do śniadania. Chcę, aby goście nie cze-
kali i chwili.

PETRONELLA.

Jak prawdę kocham... frak i śniadanie... nie
zdażę pani kasztelanowo, nie zdażę.

KASZTELANOWA (rozdrażniona).

Proszę mi się nie sprzeciwiać i zrobić jak po-
wiedziałam. (Wychodzi).

SCENA 6.

PETRONELLA (sama).

Tyran! despotka!... Ja mam fraki po starym
rozpuśniku przewietrzać. (Wacha). Pfe! czuć stęchlizną!
(Przygląda się). A jaki pocięty przez mole! (Po chwili). Ha!

weźmy się do roboty. (Idzie po trzcinę, leżącą w głębi pokoju na jednym z mebli). Miła manipulacya, jak prawdę kocham. (Zbliża się do okna, trzymając w jednej ręce frak, w drugiej trzcinę). Trzepmy więc. (Trzepie). Co za upokorzenie! (Trzepie znowu). Ach! gdybym mogła cały ród męski tak wytrzepać! (Trzepie niezmiernie szybko i gwałtownie). Dosyć!... bo mi ten gałgan jeszcze w ręku się rozleci. (Wychodzi na środek pokoju, podnosi frak w górę i zaczyna go na wszystkie strony oglądać).

SCENA 7.

PETRONELLA, REJENT.

REJENT. (Wchodzi głębia. — Siwy, stary, ale bardzo przystojny mężczyzna. — Ton mowy dobrodusznie żartobliwy, a niekiedy złośliwy i uszczypliwy, w scenach zaś dramatycznych głęboko rzewny).

Do stóp panny Petronelli dobrodziejki się ściele. Co to?... czy panna Petronella frak przywdziać zamierza?... może w celu uczczenia mojego przybycia?

PETRONELLA.

Że też pana rejenta zawsze żarty się trzymają. Jak prawdę kocham, kasztelanowa kazała mi to próchno przewietrzyć... Spodziewamy się gości.

REJENT.

Wiem. I ja zaproszony.

PETRONELLA.

Nie słyszałam kiedy pan rejent zajechał.

REJENT.

A bo wysiadłem przed stajnią i do dworu przyszedłem pieszo.

PETRONELLA.

Starokawalerskie nogi widzę, Bogu dzięki, zdrowe.

REJENT.

Służą jeszcze jako tako, choćby puścić się mazura z panną Petronellą. Ale... pi, pi, pi, jak pani ślicznie wygląda! Dali Bóg, gdybym był młodszy, gotówbym się rozkochać.

PETRONELLA.

Oho! zkad taka łaska!... Wiem, wiem: komplemента, konfitury, galaretki. Tylko, że ja już nie łakoma. Karmiono mnie słodyczami (pokazuje na zęby) a pomimo to zębów nie straciłam. Et! wolne żarty... A czy to przed dwudziestu laty, jak prawdę kocham, nie smażyłaś do mnie cholewek, panie rejencie, jak inni.

REJENT.

No, to proszę mi szczerze powiedzieć, oprócz mnie, wielu innych było?

PETRONELLA.

Jakto wielu?

REJENT.

Zakochanych... tylko zakochanych.

PETRONELLA (z radością).

Na wołowej skórze by nie spisał...

REJENT.

E!

PETRONELLA.

Jak prawdę kocham. Kasztelan się umizgał, ale się poparzył... Przyprasowałam mu kiedyś ręce gorącym żelazkiem. A pani kasztelanowej się zdawało... Boże!

REJENT.

E! e!... nie wiedziałem o tem.

PETRONELLA.

Kto tylko przyjechał, to zawracał oczami, ale rozumiałam, do czego to zmierza. Byłam ubogą i jak to mówiono wówczas: na respekcie. Nikt nie myślał się ożenić, chociaż z Kudasińskiej się rodzę, a ojciec dziedziczną wioskę przegospodarował. Ot! i pan, nieprzymierzając, panie rejencie — a nie byłeś jeszcze takim bogaczem, jak dzisiaj — zalecałeś się wprawdzie, ale do ołtarza to i w cztery woły nie dałbyś się zaciągnąć.

REJENT (z mimowolnem westchnieniem).

Ba!... co innego miałem na myśli.

PETRONELLA.

Więc zostałam starą panną. Chciało się umizgusom-filutom romansów, figielków, zakazanego owocu... Dostali figę.

REJENT.

A panna Petronella po dziś dzień rutkę sieje.

PETRONELLA (z przekąsem).

No, i pan rejent musiał sporo arbużów nazbierać, kiedy dotąd bez pary.

REJENT.

Inna rzecz stary kawaler... inna...

PETRONELLA (sens kończąc).

Stara panna. Rozumiem. Cóż to rejentowi się zdaje, że zuch taki jak ja, to już nie może się obejść bez męża albo kochanka?

REJENT.

Mnie się nic nie zdaje.

PETRONELLA (wybuchając).

A bo z pana rejenta Bismarck drugi, farmazon, wolnomyślny, rozpustnik, jak ś. p. kasztelan, z którym pewno razem hulaliście, baraszkowali, zwodzili i uwodzili. Ot! tylko dziw istotny, że kasztelanowa, co wszystkich, z którymi mąż się zadawał lub przestawał nienawidzi, pana wciąż obserwuje, weneruje i przyjaźnią zaszczyca.

REJENT (z uśmiechem).

Bo rozumna kobieta.

PETRONELLA.

Rozumna... ale!

REJENT.

Panna Petronella się gniewa, a ja dali Bóg obrazić nie chciałem.

PETRONELLA.

Czy na prawdę?

REJENT.

Klnę się na wszystkie świętości.

PETRONELLA (łagodnie).

Oho! znam ja rejenta: polityk, dyplomata, ambasador, minister, istny premier!

REJENT (z uśmiechem).

Gazety ciągle w robocie?

PETRONELLA.

Ach! uczyć się ich codzień nieledwie na pamięć, aby kasztelanowej opowiedzieć, co w dziennikach stoi. Sama czytać nie może dla osłabionego wzroku, a nie lubi słuchać ani mego, ani Tereni czytania. W czasie lektury usypia albo myśli o czym innym, o czymś smutnem. Wszystko ją jednak obchodzi co się w świecie dzieje. Patryotka gorąca... szczerze. A proszę posłuchać co za konjunktury wyciąga z polityki! Jak prawdę kocham, niech się w kącie schowają wszyscy redaktorowie.

REJENT (poważnie).

Rozumna i zacna...

PETRONELLA.

Zacna, bo zacna, ale sroga i dziwaczna czasami, że Boże zmiłuj się.

REJENT (j. w.).

Zkąd u licha taka osoba mogła pozwolić na związek dwóch starszych wnuczek z szambelanem i hrabią! I jeden i drugi nie nasze, nie polskie duchy.

PETRONELLA.

Oj! nie. Ale przed dwudziestu laty inną oni piosenkę śpiewali. Otumanili kasztelanową. Zresztą arystokratka, strasznie dumna, za byle kogo Madzi i Karolci wydać nie chciała.

REJENT.

Nie taka ona dumna, jak się wydaje, chociaż szanuje tradycję rodową. Ceni przede wszystkim za sługę, krew przelaną za ojczyznę...

PETRONELLA.

To prawda.

REJENT.

A przytem czyż doświadczenie własne nie powinno być jej nauczycielem, że nie z każdego drzewa da się dobry mąż wystrugać. Kasztelanie...

PETRONELLA (oglądając się na wszystkie strony).

Kasztelanie... powiadasz rejencie...

REJENT.

To przecie nie sekret. Kasztelanem tytułowano go przez grzeczność... Chociaż pan z panów nie był przecie wzorowym mężem...

PETRONELLA.

Jak prawdę kocham, nie. Tylko dobry Polak. Karku nigdy nie ugiął i Moskalom się nie łasił; ale za ładnym buziakiem to by i w piekło poleciał. Póki było sąsiedztwo, póki szlachta okoliczna nie zbankrutowała i nie wyniosła się do miasta, we wszystkich sąsiadkach się kochał.

REJENT (smutnie).

O!... chyba nie we wszystkich.

PETRONELLA.

Ma się rozumieć... wyjawsz y tych, które pan rejent ubóstwiał.

REJENT (niezadowolony, sucho).

Nikogo nie ubóstwiałem.

PETRONELLA.

Czy tak?... Ja przecie nie plotkarka, a chociaż dużo się domyślam, mało mówię.

REJENT.

Lepiej byłoby nic nie mówić.

PETRONELLA.

A kto mnie przed chwilą ciągnął za język?

REJENT.

Nie ja...

PETRONELLA.

Oj! filut z rejenta, jak prawdę kocham. Istny Cavour!... Ale co to chciałam powiedzieć... aha!... przypuszczam, że jeśli kasztelanowa tu pana sprowadziła w dzień, w którym tamci przyjeżdżają, to aby o losie Tereni radzić. Ja się do mojej sarenki przywiązałam, ją jedną na świecie kocham, bo dla mężczyzny serca mieć nie warto! Gdyby zatem o nią chodziło, to proszę mnie pytać. Wszystko powiem, wszystko wyjaśnię, jak na spowiedzi. Gdybyście mi Terenię skrzywdzić chcieli, jak prawdę kocham, czy bym wydrapała.

REJENT (znowu żartobliwie).

I mnie nawet?

PETRONELLA (następując na rejenta, który się cofa).

Rejentowi pierwszemu...

REJENT (j. w.).

Ładna byłaby historia, panna...

PETRONELLA (z gniewem).

Chciałeś powiedzieć: stara panna.

REJENT (j. w.).

No, nie pierwszej młodości... drapiąca starego kawalera.

PETRONELLA (prawie ze łzami).

Ależ ja nie żartuję, kiedy chodzi o Terenię. Dali-pan, przecie człowiek nie z żelaza, coś lub kogoś kochać musi. Inne kochają psy, papugi, nawet świnki morskie... ja kocham dziecko, które wychowałam.

REJENT (poważnie).

Uspokój się panno Petronello... i ja w tym względzie żartować nie myślę. Dali Bóg, jestem przecie, nie chwając się, uczciwy człowiek.

PETRONELLA.

To też na to liczę.

KASZTELANOWA (za sceną).

Panno Petronello!

PETRONELLA (przykładając palec do ust).

Cicho! sza! jak prawdę kocham... (Zwracając się w stronę głosu kasztelanowej). Lece, biegnę! (Chwyta frak pod pachę i wybiega. — Widać, jak za szklanymi drzwiami spotyka się z kasztelanową, która zatrzymuje ją chwilę, wydając po cichu jakieś polecenia).

SCENA 8.

REJENT, KASZTELANOWA.

REJENT (do siebie, patrząc przez drzwi na kasztelanową).

Oho! dawno jej nie widziałem w takim stanie. Ręce drżą, rumieniec wypalony na bladej twarzy. Widać, że sobie przymus zadaje.

KASZTELANOWA (wchodzi).

Jak się masz rejencie.

TADEUSZ POPIEL.



SIESTA.

BIURO BADAŃ I DOKUMENTACJI ZADYTKÓW
15-213 w D. ymsłoku
ul. Mickiewicza 3/5

4074

REJENT (całując jej rękę).

Zdrów, jak zwykle, do usług pani kasztelanowej.

KASZTELANOWA (idzie do okna).

Tylko co ich nie widać. (Po chwili). W ważnych interesach zawezwałam cię dziś stary przyjacielu.

REJENT.

To też, jak najspieszniej przybyłem.

KASZTELANOWA.

Mało mamy teraz czasu do pomówienia, ale kiedy już przyjadą i rozgoszczą się, znajdziemy niezawodnie chwilę swobodną. (Przechadza się roznerwowana). Może potrzeba będzie spisać testament...

REJENT.

O! pani kasztelanowo dobrodziejko, to rzecz nie pilna.

KASZTELANOWA.

Przeciwnie: pilna, bardzo pilna. Jestem stara, zmęczona życiem, bliska grobu...

REJENT.

Pozwoli pani, że zaoponować muszę...

KASZTELANOWA (przerywa mu gestem, pełnym niecierpliwości).

Daj pokój! (Po chwili). Konieczność porozumienia się z siostrami i szwagrami Tereni sprawiła, że zaprosiłam, sama zaprosiłam, pojmujesz rejencie... muszę zatem przyjąć ich grzecznie, uprzejmie... A trudno mi to, trudno!

REJENT.

Rozumiem, pani kasztelanowo dobrodziejko.

KASZTELANOWA.

Obowiązek nakazywał, więc się nie wahałam. — Będziesz musiał układać się z nimi. — Pomówimy o tem później... szczegółowo. — Dodam jeszcze do dawniej wypłaconych posagów po sto tysięcy... może po dwakroć... ale cały majątek przypadnie Tereni

w udziale. Muszą się zrzec wszelkiej dalszej sperandy, pokwitować formalnie... Nie chcę, aby po mojej śmierci procesowali biedne dziecko.

REJENT.

Pannę Teresę?

KASZTELANOWA.

Tak. — Oni inni ludzie, my inni. Drogi nasze się rozchodzą...

REJENT.

W przeciwnie strony.

KASZTELANOWA.

Po załatwieniu interesu, znać ich nie chcę. (Zatrzymuje się w pośrodku pokoju). Podobno tam, w swoich salonach warszawskich, wyśmiewają Terenię, nazywając ją »Kopciuszkiem«. — Otóż Kopciuszek będzie mieć książęce wiano i wyjdzie za mąż za księcia... jak w bajce.

REJENT (mocno zdziwiony).

Za księcia?!... Nie mamy tu żadnego w okolicy.

KASZTELANOWA.

To też go sprowadzam z daleka.

REJENT (niezadowolony, jakby się zabierał do dłuższego mówienia).

Mnie by się zdawało...

KASZTELANOWA.

Tak postanowiłam, tak być musi. (Słychać trzaskanie z bicza. — Kasztelanowa drgnęła). Jada! (Mocno wzruszona idzie do okna). Konie zatrzymały się przed zamkniętą bramą. — Jaki ten Grześ niezgrabny, ledwie lezie. — A przecie!... Otwiera nareszcie. (Zwraca się do rejenta). Śpieszę na ganek... powitać, przyjąć... Tak gościnność i zwyczaj staropolski każe. (Wychodzi).

REJENT (sam).

Jest i książę!... tego nie przewidziałem. — Biedny Ludwik!

Zasłona, spada.

AKT II.

Tenże sam pokój co w pierwszym.

SCENA I.

REJENT, PETRONELLA.

(Rejent wchodzi głębia. — Petronella, która wyszła z prawych drzwi bocznych, zbliża się do niego szybko).

PETRONELLA.

No... i cóż? i cóż?

REJENT.

O co chodzi?

PETRONELLA.

Jak prawdę kocham, a o cóżby jeśli nie o gości?

REJENT.

Zjedli śniadanie, potem przechadzali się po ogrodzie, bawiąc kasztelanową opowiadaniem o polityce... ale, chociaż usługują przy wielkim ołtarzu, nic ciekawego nie dowiedzieliśmy się od nich. Obecnie, poszli przebierać się do obiadu. Za chwilę się tu zjawia w toaletach i we frakach.

PETRONELLA.

To wiem... ale jacy oni?

REJENT.

Dali Bóg, jak my, zwyczajni ludzie. Mają oczy, nosy, ręce, nogi...

PETRONELLA.

Jak prawdę kocham, niech-że rejent przestanie żartować. Przecież ich znam, ale chciałabym się dowiedzieć, jak się panu wydali, jakie wrażenie na nim zrobili.

REJENT.

Bardzo dobre.

PETRONELLA (ze zdziwieniem).

Czy być może?

REJENT (z dwuznacznym uśmiechem).

Ujęli mnie nawet sobie.

PETRONELLA.

Istne dziwo, jak prawdę kocham.

REJENT.

Tak, tak...

PETRONELLA.

Maskują się chyba, dyplomatyzują?...

REJENT (j. w.).

Nie wiem... może... ale mnie sobie ujęli.

PETRONELLA.

Nie wierzę.

REJENT.

Szambelan trochę śmieszny, ale tak szczerze wesoły i zabawny...

PETRONELLA.

Hrabia wygląda jak żandarm... zimny, sztywny...

REJENT.

Pozornie. Powiedziałbym raczej, że smutny, przygnębiony...

PETRONELLA.

A książę?

REJENT.

Śliczny mężczyzna! w równym wieku z Ludwikiem; służył z nim nawet razem w szeregach powstańczych. Oba mieli wówczas po lat szesnaście, siedemnaście... a dziś, z brodą już nieco siwiejącą, wygląda o dziesięć lat starszy od swego towarzysza broni. Ruchy pańskie, oczy... oho! jakieś przeszywające, chociaż pełne słodyczy i melancholiczne... głos o miłym brzmieniu... serce, jak na dłoni...

PETRONELLA.

Oj! coś nasz rejent machiawelizuje; a pan wie, że ja brzydzę się Bismarkowemi praktykami.

REJENT.

Gdzie panna Petronella widzi machiawelstwo?

PETRONELLA.

W oczach, w tych oczach, któremi bałamuciłeś dawniej biedne kobiecie.

REJENT.

Nigdy nikogo nie bałamuciłem.

PETRONELLA.

No, no... szkoda czasu na próżne słowa. (Ogląda się). Muszę jednak panu powiedzieć, że Terenia księcia, którego jej oboje z kasztelanową przeznaczacie — bo domyśliłam się tego od razu zaledwie go ujrzałam — nie pokocha i basta!

REJENT (z szczerem zajęciem).

Zkąd pewność?

PETRONELLA.

Alboż to ja jej nie znam, czy co? Chociaż, jak prawdę kocham, potulna i słodka, niby ułaskawiona sarenka, ma ona charakter i wolę, nieprzymierzając, jak kasztelanowa. Nie daleko padło jabłko od jabłoni. Wbrew przekonaniu nic nie robi. — A przytem, (ogląda się na wszystkie strony) tylko proszę mnie nie zdradzić... to niezwykła istota. Miewa sny prorocze...

REJENT.

Które jej panna Petronella tłumaczy z sennika i kabały.

PETRONELLA (mocno zdziwiona).

A pan zkąd wie o tem?

REJENT.

Zkąd?... mniejsza; dość, że wiem o wszystkim.

PETRONELLA.

Otóż nie o wszystkim pan rejent wiedzieć musi, kiedy nie wie, że ona moich tłumaczeń słucha, ale im nie wierzy, pokładając całe zaufanie tylko w własnych przecuciach, które jej nigdy nie zawodzą.

REJENT (ironicznie).

No, no... cuda... Czy tak?... istne cuda...

PETRONELLA.

Jak prawdę kocham, cuda... (jakby sobie przypominając) o których nie śniło się filozofom naszym.

REJENT.

Ja wierzę w cuda, które sprawia wzajemna skłonność, a książę chociaż siwieje, podobać się może. Piękny, jak malowanie.

PETRONELLA.

Dla nas kobiet z czułym sercem nie sama piękność mężczyzny ideałem! — A zresztą kocha innego.

REJENT.

Niby kogo?

PETRONELLA.

Kto wszystko wie, to i to wiedzieć powinien. (Rejent milczy). Domyślić się łatwo... Żyjemy przecie jak na bezludziu. (Po chwili). Czy pan rejent naprawdę nie wie?... (Ogląda się na wszystkie strony, potem szepcze mu do ucha). Kocha godnego siostrzana pańskiego, pana Ludwika.

REJENT.

Eee! może się to tylko pannie Petronelli tak wydaje?

PETRONELLA.

Gdzie zaś, jak prawdę kocham, ja się na tem znam...

REJENT (sens kończąc).

Z doświadczenia.

PETRONELLA (powtarza w roztargnieniu).

Z doświadczenia. (Spostrzega się i mówi z oburzeniem). Proszę nie żartować. — Pewno, że nie doświadczyłam tyle co pan rejent, ale na czem się znam, to się znam, i kwita. — O! już to złośliwy języczek pański dociąć musi nawet wtedy, kiedy człowiek najmniej się tego spodziewa. (Z szczerem uczuciem). Przecież mnie tylko o Terenię... o jej szczęście chodzi.

REJENT.

Przepraszam... nie chciałem ani dociąć, ani rozniewać...

PETRONELLA (nasłuchując).

Cicho!... słyszę kroki... muszę lecieć. Trzeba dopilnować, aby nakrywano do stołu. (Odchodzi i znowu powraca). A nie sprzedać mi mojej sarenki, bo już powiedziałam, jak prawdę kocham... oczy wydrapię. (Odwraca się i spotyka z wchodzącym Ludwikiem).

SCENA 2.

REJENT, LUDWIK, PETRONELLA.

LUDWIK (do Petronelli).

Spłoszyłem?!.. Proszę się nie rumienić, nie myśle wyprowadzać złośliwych wniosków z *rendez-vous* pani z wujaszkiem.

PETRONELLA.

Et! jak prawdę kocham, mam ja więcej dla pana sympatyj, niż dla rejenta.

WITOLD PRUSZKOWSKI.



Z TEK I SZKICÓW.

REJENT.

Bo Ludwik młodszy...

PETRONELLA.

Dobrze, dobrze, niech i tak będzie. Kol pan,

kol; ile się podoba. Już i tak po naszej rozmowie czuję się cała jak od komarów pokłóta. Trochę mniej bólu, trochę więcej... nic nie szkodzi.

LUDWIK.

Kto się lubi...

PETRONELLA.

Ja tam nikogo czubić nie zwykłam, chociaż, jak prawdę kocham, nieraz by się może przydało. Ale et... niech tam!

REJENT.

Serduszko miłosierne...

PETRONELLA.

Miłosierne czy niemiłosierne, ale komu życzliwe, to życzliwe, bez Meternichowskich wybiegów. (Ściska przyjaźnie rękę Ludwika). Do widzenia panie Ludwiku. Muszę odejść, bo wielki czas kazać nakrywać do stołu... z przepychem. Oho! u nas dziś wszystko z przepychem, po książęcemu. (Kłania się). Sługa pana rejenta. (Wychodzi).

SCENA 3.

REJENT, LUDWIK.

REJENT.

Wyfraczyłeś się, widzę.

LUDWIK.

Jak wszyscy... jak ty sam wreszcie. (Ogląda się naokoło, potem mówi żywo i z rozdrażnieniem). Co znaczy ten zjazd nagły i niespodziewany? co znaczy niezwykle przepych przy śniadaniu?... przepych książęcy, jak powiada panna Petronella.

REJENT.

Chcesz wiedzieć?

LUDWIK.

Proszę cię wuju powiedzieć... powiedz bardzo proszę.

REJENT.

Celem przybycia całej rodziny jest potrzeba ostatecznego uregulowania spraw majątkowych... i... (Chwila milczenia).

LUDWIK.

I...?

REJENT.

I zamiar wydania panny Teresy za mąż.

LUDWIK.

Za kogo?

REJENT.

Za księcia. (Po chwili). Poblądłeś! (Ludwik siada na krześle). Milczysz? (Pauza). Czy ty bardzo tę dziewczynę kochasz? (Po chwili). No... odpowiedz choć słówko. (Ludwik opiera dłonie na poręcz krzesła i twarz na nie pochyla. — Rejent czeka parę sekund, potem mówi z ukrywanym wzruszeniem). Nie trzeba tego jeszcze tak bardzo brać do serca... (Ludwik nie zmienia postawy). A jednak... (Urywa. — Ludwik odnosi głowę i patrzy w oczy rejentowi, jakby w nich szukał nadziei). Dali Bóg, gdyby tylko o majątek chodziło, powiedziałbym, że nie masz czego się lękać, bo twoje Dębniaki, bez grosza długu na hipotecę, pańska fortuna; a przecie po mojej śmierci odziedziczysz Chrzanów i Wolę Chrzanowską, dwa złote jabłka. Tylko, że twój rywal jest księciem... księciem de Golis... ale księciem. (Ludwik znowu pochyla czoło na poręcz krzesła).

Czy ty nie przemówisz? (Po chwili). Co do urodzenia nie wywodzisz się wprawdzie, jak on od Gedymina, aleś szlachcic z dziada pradiada. Masz szereg przodków, może niezbyt długi, lecz wszyscy wiernie służyli ojczyźnie. Ani jednego zdrajcy między nimi. (Ludwik znowu podnosi nań oczy). Twój dziad krwią wywalczył stopień generała... i koronę hrabiowską i *virtuti militari* i krzyż legii honorowej. Matka twoja... moja cioteczno-stryjeczna siostra... (tu głos rejentowi mięknie

jak umie i może, sprawiedliwości uczynić zadość!... Szukała i szukała sposobu, aż znalazła księcia-patryotę. Bo to książę... Nie ma co mówić: prawdziwy książę. (Ludwik podnosi głowę). Podobno kolegował z tobą w powstaniu, a chociaż, jak ty liczył wówczas zaledwie lat szesnaście, bił się pod Żyrzynem...

LUDWIK.

Jak lew. (Zrywa się i zaczyna chodzić po pokoju).

JACEK MALCZEWSKI.



STANISŁAW TONDOS W PRACOWNI.

i staje się prawie łzawym). ...słowem daleka krewna... śliczna i dobra... ofiara losu... (poprawia się) i zdarzeń... tak, smutnych zdarzeń... hrabianką była z domu. (Urywa, jakby marzył.—Po chwili). Ale on jest księciem! (Ludwik opuszcza głowę na piersi). Kasztelanowa chce... musi mieć księcia, żeby tamte dwie poniżyć, żeby nad nie wynieść Terenie. A tego jej życzenia nie godzi się ani potępiać, ani lekceważyć, bo nie wypływa ono z dumy tylko. Nie mamy do czynienia ze zdzieciniałą arystokratką... nie, o! nie. Kasztelanowa w starszych dwóch wnuczkach pragnie upokorzyć ich mężów, ukarać odstępstwo od sprawy narodowej. Chce,

REJENT.

Jak lew... a widzisz! (Po chwili). Przytem... bo go już poznałem... dobry, piękny, miękki... goły... Będzie posłuszny. Jak raz takiego tu było potrzeba.

LUDWIK (zatrzymuje się i chwyta rejenta za rękę).

Wuju! jeśli ten związek przyjdzie do skutku, to ja sobie w łeb strzelę!

REJENT (mocno wzruszony).

Dali Bóg, szalony!... Co ty pleciesz!

LUDWIK (prawie nieprzytomnie).

Nie wiem... nie wiem... okropna jakaś myśl rodzi mi się w głowie... Znasz mnie drogi opiekunie... rozumiesz, że na próżno nie straszę...

REJENT (z wybuchem).

Szalony! szalony! szalony! (Chwyta go za kłapy od fraka, przyciąga do siebie i mówi z wielkim wzruszeniem). Ludeczku! upamiętaj się... ja stary, żyję tylko dla ciebie... Co ja pocznę sam jeden na świecie?!

LUDWIK (j. w.).

Przyjechali goście do naszego zacisza, do naszego gniazda odrodzenia... i przywieźli z sobą zarazę... śmierć może!

REJENT (przyciska Ludwika do piersi. — Książę ukazuje się w drzwiach ogrodowych. — Rejent puszcza Ludwika).

Zmiłuj się, panuj nad sobą!... (Odwraca się i ociera łzę ukradkiem).

SCENA 4.

REJENT, LUDWIK, KSIĄŻĘ.

KSIĄŻĘ (w drzwiach. — Bardzo piękny, rysy regularne, twarz blada, ruchy wytworne, ujmująco grzeczny. — Strój balowy).

Może przeszkadzam?

REJENT (panując nad wzruszeniem).

Bynajmniej... broń Boże!... Niech książę wejść raczy.

KSIĄŻĘ (jeszcze w drzwiach).

Taki piękny ten stary ogród. — Szpaler grabowy, który mnie z oficyny aż pod dwór doprowadził, podobny do tunelu. Cały pograżony w cieniach. (Zbliża się naprzód sceny. — Równocześnie Ludwik idzie w głąb pokoju, gdzie się przechadza zadumany).

REJENT.

Ha! bo już dali Bóg i wieczór. — Ściemniać się zaczyna... Kasztelanowa, ze względu na gości z wielkiego miasta zmieniła uświęcony zwyczajem porządek rozkładu godzin. Jedliśmy dziś śniadanie o pierwszej; siadziemy do obiadu prawdopodobnie o ósmej, kiedy zwykle o tej porze bywa już tutaj po wieczery.

KSIĄŻĘ.

Hrabia i szambelan nie powinni byli zgodzić się na podobne zmiany, jeśli pani domu — tak szanowna matrona — do innego *régime* przywykła. (Zwraca się do Ludwika). Kochany kolego, o czym tak myślisz?

LUDWIK (jakby ze snu zbudzony).

Ja?!

KSIĄŻĘ.

Czy nie o dawnych czasach, kiedy-to z świętym zapalem w sercu, z wiarą w przyszłość, na rącznych konikach pędziliśmy przed sobą sotnie kozackie, albo (z uśmiechem dobrodusznym) — bo i to nierzadko się przytrafiało — uciekaliśmy, (ze wstrętem) a szarańcza hałaśliwa goniła za nami.

REJENT.

Zbliż się Ludwiku. (Ludwik automatycznie się zbliża).

KSIĄŻĘ.

Ach! mój drogi, jakiś ty szczęśliwy!... Nie możesz, nie umiesz pewno ocenić należycie swojego szczęścia. Siedzisz na wsi, nie wyjeżdżasz do miasta, nie

potrzebujesz widywać obcych ludzi, przybranych w nie-nawistne nam mundury. Nie spotykasz się z nimi, jak ja, codzień... nie potracasz ich na ulicy, nie zastajesz w restauracyi... w salonach... wszędzie.

LUDWIK (nerwowo i prawie ironicznie).

Dla czegoż książę nie unika spotkania?

KSIĄŻĘ.

Bo uniknąć nie mogę. — Ale, ale, na co w ustach twoich ten »książę«? Wszakże dla ciebie jestem tylko Zdzisławem, dawnym towarzyszem broni. Przypomnij sobie: uratowałeś mi życie... Czy pamiętasz?

LUDWIK (j. w.).

Tyle lat już od tego czasu upłynęło... Zapomniałem.

KSIĄŻĘ (szczerze).

Ale ja pamiętam.

REJENT.

Niech mu książę wybaczy. Zdziczał w naszym pustkowiu... a przytem z przywyknień młodości wyrosnąć nie może. Czasem, patrząc na niego, słuchając go... zdaje mi się, że to ten sam Ludwik szesnastoletni wybierający się na powstanie. Dziś, nie mogąc walczyć z wrogiem, gotów rzucać się na wiatraki. Ot! pstro w głowie, mości książę... (Przyciąga Ludwika do siebie i całuje go w czoło) dotąd jeszcze pstro w głowie. (Na ucho do Ludwika). Uspokój się... proszę, zaklinam! (Spostrzegłszy wchodzącego szambelana, mówi dalej po cichu). Umykaj do ogrodu... przejdź się... ochłódź rozpalone skronie. (Ludwik zwraca się ku drzwiom).

KSIĄŻĘ.

Odchodzisz? (Ludwik chce odpowiedzieć, rejent nie daje mu przyjść do słowa).

REJENT.

Wróci za chwilę... Prosiłem, żeby mi przyniósł okulary. (Szambelan odchodzącemu Ludwikowi kłania się, jakby chciał na siebie zwrócić uwagę, ale Ludwik wciąż roztargniony oddaje mu ukłon i wychodzi).

SCENA 5.

REJENT, SZAMBELAN, KSIĄŻĘ, później HRABIA.

SZAMBELAN. (Strój balowy. — Order na szyi, łańcuszek z drobnymi odznakami honorowymi przy butonierce. — Pod niemi krzyż większy; gwiazda na piersiach; wstęga. — Wesoly, uśmiechnięty, staje pomiędzy rejentem i księciem i zwraca się to do jednego to drugiego, jakby chciał wywołać wrażenie).

A co?!... babcia chyba nie powie, że się do niej nie wystroiłem!

KSIĄŻĘ (spogląda na niego i mówi westchnawszy, z lekkim odcieniem niezadowolenia, jednak bardzo grzecznie).

Obwiesiłeś się orderami. Wątpię, aby ten widok zachwycił kasztelanowę.

SZAMBELAN.

Jakto?... przecież babcia jest gorliwą katoliczką, więc dary Ojca Świętego cenić powinna; a proszę patrzeć... (zwraca się głównie do rejenta) mam na szyi krzyż komandorski Grzegorza Świętego... tu Św. Sylwestra... a tu Grobu Świętego... tu oznaki kawalera maltańskiego...

KSIĄŻĘ (wysuwając mu z pod kłapy u fraka jeden order).

I rosyjską Świętą Annę, czwartej klasy.

SZAMBELAN (prawie smutnie).

Tak, dali mi tylko czwartą klasę, jak jakiemu praporszczykowi. Krzycząca niesprawiedliwość!

KSIĄŻĘ (j. w.).

Oprócz niej i pruski krzyżyk ztąd wygląda. Ręczę, że babka twojej żony błyskotkom tym nie będzie rada.

SZAMBELAN (znowu wesoły).

Nie wierz temu, nie wierz. Kobiety bywają niemi zwykle olśnione. (Do rejenta). Bo czemuż, proszę pana, są dla nas ordery jeśli nie tem samem, czem dla nich brylanty.

REJENT (który dopiero teraz odzyskał spokój i wrócił do zwykłego tonu).

Dawano je podobno niegdyś za zasługę publiczną, za krew przelaną w obronie ojczyzny...

SZAMBELAN.

Dawniej może... bardzo dawno temu... ale nie dziś. Dziś łaskawy panie mamy *fin de siècle*. (Śmieje się). Ot! ja na przykład: krwi nie przelewałem, mój urząd dworski także wielkich poświęceń nie wymaga, a jednak zebrałem tę kolekcję.

REJENT (przygląda się).

Bogata! bogata!... z różnych dworów. Nawet księstwo Meklemburg-Szwerin przez gryfa w niej reprezentowane. — I one tak sobie na piersi pana szambelana w zgodzie żyją?

SZAMBELAN (śmieje się).

Możeby się i pokłóciły, ale umiem utrzymać między niemi polityczną równowagę. Stosownie do okoliczności i miejsca ten albo ów naprzód wysuwam, ten albo ów uwydatniam, wieszając go na honorowym miejscu.

KSIĄŻĘ (z widocznym niezadowoleniem, ale wciąż bardzo grzecznie).

Mój drogi, chciej się zastanowić. Przybyliście tu z Augustem w interesach rodzinnych, podobno bardzo ważnych. Pomyślne ich załatwienie zawisło od dobrej woli kasztelanowej, Polki, patriotki szczerzej. Czyż nie pojmujesz, że w ten sposób przyozdobiony, musisz w jej opinii utonąć.

SZAMBELAN.

Nie bój się, jestem jak korek... zawsze wypływam.

KSIĄŻĘ (z niechęcią).

Widocznie nie chcesz mnie zrozumieć.

SZAMBELAN (z lekkim odcieniem niecierpliwości, wciąż jednak wesoło).

Ależ rozumiem, rozumiem! — Słuchaj: kto na przedpieklu mieszka, dyabły w kumy prosi. Nie znasz tego przysłowia?... To go się naucz. Rozumne. — Bo proszę cię, panie rejencie, odziedziczyłem po ciotce majątek w księstwie. Tam potrzebuję krzyżyka pruskiego. Mam dobra na Ukrainie i Podolu. Tam mi Św. Anna otwiera drzwi, które bez niej byłyby wiecznie przedemną zamknięte. Posiadam dom w Warszawie, gdzie bez mego szambelańskiego klucza mógłbym co drugi dzień dostać się do kozy. A że krzyż pruski, św. Annę i szambelaństwo rosyjskiego dworu łągodzę i równoważę kawalerstwem maltańskim i orderami papieskimi, to chyba nie na potępienie, lecz na uznanie zasługuje. Niech mi babcia wybaczy, ale

trzeba być pono ślepą, głuchą i rozstrojoną... tak, rozstrojoną... aby nie usprawiedliwić pewnej koniecznej hipokryzyi w naszym położeniu... w naszym strasznym położeniu. (Ogląda się na wszystkie strony i mówi cichutko). Czyż dla tego, że lawiruję, bo lawiować muszę, mam być złym Polakiem? (Coraz ciszej). Broń Boże!... Nie, nie, nie... nie jestem złym Polakiem, co mam honor oświadczyć panom... ale w sekrecie.

KSIĄŻĘ.

Więc nie zdejmiesz orderów?

SZAMBELAN (wesoło i głośno).

Ani myślę!

KSIĄŻĘ (z odcieniem prośby w głosie).

Tylko parę...

SZAMBELAN (j. w.).

Ani jednego. Trzeba mieć odwagę swoich przekonań. Nie myślę ulegać kaprysom, choćby najgodszej szacunku osoby dla marnych stu... No! mniejsza dla czego.

KSIĄŻĘ.

Zdaje mi się, że będziesz tego żałować.

SZAMBELAN (j. w.).

Tak myślisz?... No to ci powiem jeszcze jedno przysłowie: księżę prałacie, nie tak czynicie, jak nauczacie.

KSIĄŻĘ.

Co chcesz przez to powiedzieć? (n. s.). Niesmaczny parweniusz.

SZAMBELAN.

Nic złego, nic złego... tylko mój drogi w naszym położeniu trzeba mieć koniecznie odwagę swoich przekonań. Ty, co tak pięknie deklamujesz, czyż nie starasz się o kamerjunkrostwo?

REJENT (n. s.).

Oho!

KSIĄŻĘ.

Ja?... ja!

SZAMBELAN.

A któż?

KSIĄŻĘ (dotknięty).

Daruj, to wy staracie się dla mnie o ten stopień dworski, i dla tego tylko może zgodziłem się tu przyjechać, bo... bo pragnę wyswobodzić się z pod wpływów i oderwać od stosunków, które mogłyby mnie zmienić w chorągiewkę na dachu.

SZAMBELAN (wesoło).

Nie lękaj się, pracujemy właśnie z panem rejentem nad tem, abyś nie został chorągiewką na dachu, którą ja jestem. Przyznaję się do tego bez fałszywego wstydu. Nic pyszniejszego nad jej stanowisko... najwyższe i wesołe. Wiatr w prawo, ona w prawo; wiatr w lewo... brr, ona w lewo; a zawsze na dachu. (Zniża głos). Zresztą powiem ci znowu w sekrecie: w rozumnie i systematycznie połączonej rodzinie powinni być tacy i tacy... dla wspólnego bezpieczeństwa. (Wybuch śmiechem, ściska księcia wpół, potem podaje ramię rejentowi). Mówiliśmy już łaskawy panie, że stawiam pałac w jednej z moich ziemskich posiadłości na Podolu. Dzieło to pochłania ogromne pieniądze, a chociaż jestem bogaty, sto tysięcy, które babcia daje, uważać mogę chyba tylko za zadatek...

HRABIA (wchodzi).

Kasztelanowa prosi pana rejenta.

REJENT.

Ide.

SZAMBELAN.

Za chwilę i ja przybędę do ogrodu, aby ostatecznie interes omówić. (Podaje rękę rejentowi, któremu hrabia wskazuje bardzo grzecznie, aby pierwszy próg przestąpił).

REJENT.

Ależ panie hrabio jestem tu niemal domownikiem. (Wychodzi za hrabią).

SZAMBELAN (powraca naprzód sceny i uderza księcia z lekka po ramieniu).

Widzę, że się dasasz!..

KSIĄŻĘ (niezadowolony, ale bardzo grzecznie).

Mówisz czasem rzeczy tak przykre i drażliwe...

SZAMBELAN.

Mniejsza o to, co mówię, dość, że działam na twoją korzyść. Ty zaś nie irytuj się, nie rezonuj, tylko... rozkochaj w sobie Terenię i basta. To nieodbitcie potrzebne. (Z naciskiem, oraz z minami i gestami człowieka wiedzącego wszystko). Dawne romanse puść w kołmin... tu o twoją przyszłość chodzi. (Wesoło). Nasze panie warszawskie twierdzą, że masz urocze oczy, czyli — jak się to dziś nazywa — hipnotyczne. Za hipnotyzuj więc małą, a o układach ja pomyślę.

KSIĄŻĘ (z uśmiechem przyjemnie polectanej miłości własnej).

Powiadasz, że mam oczy hipnotyczne?

SZAMBELAN (śmiejąc się).

Wróble o tem swiergoczą na dachach, *Kuryerki* już pisały...

KSIĄŻĘ (j. w.).

E!... żartujesz!

SZAMBELAN.

Oho! dziś każdy jest własnością reporterów, wciśkających się nawet do naszych salonów.

KSIĄŻĘ.

Przecież mnie nie wymieniano.

SZAMBELAN.

Ale omówieniami wskazano.

KSIĄŻĘ (z odcieniem lekceważącego powątpiewania).

I tyś się tego domyślił?

SZAMBELAN (dotknięty).

Dla czegoż nie miałbym się domyślić?!? (Z minami, jak wyżej). Ja się wielu innych rzeczy domyśliłem.

KSIĄŻĘ.

No, no...

SZAMBELAN.

Czy mniemasz, że nie wiem, iż zawracałeś głowy wdowom, rozwódkom... i mężatkom. (Z naciskiem). Szczególnie mężatkom. Usypiałeś je po salonach i buciarach, publicznie i prywatnie, teraz wybiła godzina, w której musisz nas przekonać, czy tej sztuki dokazesz z panną.

KSIĄŻĘ.

Czemuż by nie, gdybym zechciał.

SZAMBELAN.

Chciej!.. hipnotyzuj!

KSIĄŻĘ.

Ba! gdybym posiadał odpowiednią naukę...

SZAMBELAN.

Śmiej się z nauki, którą nawet szarlatani popisują się na estradach.

KSIĄŻĘ (z uśmiechem).

Dziękuję za porównanie.

SZAMBELAN (zastanawia się, a potem wybucha śmiechem).

Prawda, prawda... no! ale ty przecież jesteś tylko dyletantem!

KSIĄŻĘ (j. w.).

Tem gorzej. Bój się Boga nie broń mnie. Brońiąc coraz bardziej ośmieszasz.

SZAMBELAN.

No, bo przyznam ci się szczerze, że ja się na tem wcale a wcale nie rozumiem, chociaż niemal codzień czytuję w gazetach sążniste artykuły o spirytyzmie, hipnotyzmie, okultyzmie, symbolizmie, czarnej magii i tym podobnych kuglarstwach. Wiem jednak, że kobiety bałamucisz łatwo, że Karla i inne damy z naszego towarzystwa utrzymują, że masz oczy hipnotyczne... więc domagam się, abys Terenię zhipnotyzował. W tym starym dworze możesz śmiało operować... wszak tak?... operować. Tu wierzą jeszcze w strachy, czary, uroki, cuda... (z westchnieniem) bo wierzą także w odrodzenie ojczyzny.

KSIĄŻĘ (sykając z niezadowoleniem).

Znowu!...

SZAMBELAN (nie dając mu przyjść do słowa).

Tylko żadnych słabości. — Czy dajesz mi słowo, że postarasz się rozkochać w sobie Terenię?

KSIĄŻĘ (stanowczo).

Daję słowo, że chcę, aby mnie pokochała.

SZAMBELAN.

To dobrze. Lecę porozumieć się z rejentem... Wierzaj, że to rzecz nie łatwa. Mądra ryba!.. i babcia mu ufa. (Idzie ku drzwiom i wraca). A pamiętaj, że sam — bez mojej pomocy — tu sobie nie poradzisz. (Poprawia order i wychodzi głębia).

KSIĄŻĘ (patrząc za nim).

Próżny, chciwy, naiwnie głupi i przebiegły zarazem. Straszy mnie, ale tego lękać się nie potrzebuje, bo już spostrzegłem, że kasztelanowa nim pogardza, a mnie sprzyja. — Mała mi się podoba; ma w sobie coś... coś... co budzi pragnienia, jakich dotąd nie znałem. — Małżeństwo... deska ratunku! Może nie ostatnia, bo w świecie naszym nie brak posagów, czychających na mitrę książęcą, ale tu mnie pociąga dziewczątka niewinne i dzikie... a i otoczenie tak szczerze polskie, takie zacne. Gdybym się teraz nie ożenił, stałbym się może podobnym do jednego z nich... prędzej czy później. (Wzdryga się). Nie; hańba nazwiska nie okryję. (Po chwili). Czy mnie jednak pokocha?! (Bardzo stanowczo). Chcę żeby pokochała... musi pokochać (Marząc). Oczy... tak oczy... Całą siłą sugestii w nich skupię. A i głos mój podobno działa także magnetycznie na nerwy i serca niewieście.

PIOTR STACHIEWICZ.



WANDA.

(Po chwili). Karla dotąd nic nie wie... a jak się dowie... gotowa... Ba, fraszka! otrzyma przecie odškodowanie. (Po chwili). Może to nieuczciwie walczyć środkami dla mnie samego niezrozumiałemi, niepojętemi, strasznemi... Waham się i pragnę. Tu tak spokojnie, tak błogo w tym staropolskim dworze... Jeśli się nie ożenie, oni mnie sieciami swemi oplaczą i ka-

(Ciąg dalszy nastąpi).

merjunkrem robią, i w szkaradne jakieś błoto wciągają... A nie oprę się... czuję, że się nie oprę!... Na konkury zastawiłem u Goldsterna ostatni kawał ziemi, jaki mi po przodkach pozostał. *Vogue la gaulère*... cel uświęca środki. (Znowu bardzo stanowczo). Terenia musi mnie pokochać.

ZYGMUNT SARNECKI.

ZDAŁO MI SIĘ...

Zdało mi się, że płynę
Po wód modrych przestrzeni.
Łódź ma kraje głębiny,
Fala wkoło się pieni,
A ja płynę wesoły,
Ścigam wzrokiem sokoły,
Co skrzydłami w mgle świecą,
I w dal, w jasną dal lecą,
W promiennych snów dal.

Zdało mi się, że rzucił
Po za sobą, daleko,
Ból, co serce me smucił,
Łzy, co lały się rzeką,
Krwi człowieczej strumienie,
Zbrodnie, mordy, cierpienie.
Cicho, jasno w mej duszy,
Sennie pieści me uszy
Srebrzysty szmer fal.

Zdało mi się, że słońca
Wstaje kula z wód toni,
Blasków łuna gorąca
Że po niebie się goni,
Że harmonia urocza
Bije z fali przezrocza
I w hymn wzrasta olbrzymi,
I głosami setnymi
Wolności brzmi śpiew.

Zdało mi się: sam śpiewam,
Całem sercem wezbranem
Burze uczuć rozlewam,
Pieśń ma dźwięków orkanem
W drzwi chat bije, pałacy:
»Wstańcie, nędzni, żebracy,
Rzućcie torby i kije!
Niechaj nie śpi, kto żyje,
Przyszłości mknie wiew!«

Zdało mi się, że w struny
Biję z siłą olbrzyma,
W głosie moim pioruny,
Pierś natchnieniem się wzdyma:
»Do miłości ogniska!
Wielkie jutro nam błyska,
Rozpadają się pęta,
Lśni wolności twarz święta,
Przecuciem drży świat!«

Zdało mi się — rozgłośnie
Tysiąc głosów odbrzmiewa,
Aż uczuciem pierś rośnie,
Jak ptak, dusza ma śpiewa:
»Do serc — serca! Do łona

Oto tuli w ramiona
Chłopek pana, dla pana
Świętą chłopska sukmana,
On druh mu i brat!«

Zdało mi się — świat cały
Tajał w zorzach miłości,
Pod jej tchnieniem płały
W grobach trupy i kości.
Męczennicy wstawali,
Wielcy, czyści i biali,
W ogniach stosów strawieni,
Drudzy w krwawej czerwieni,
Bez końca ich sznur!

Zdało mi się — w ich oczach
Lśni coś w zorzach i błyskach,
Jako w tęczy warkoczach
Po gromowych pociskach:
»Już nas ogień nie pali,
Przyschły rany krwawiące,
My dla ciebie konali,
O miłości ty słońce,
Wschodzące z za chmur!«

Zdało mi się — wspaniały
Orszak w górę wznosił ręce,
Błogosławiąc świat cały,
Wzrosły w bólach i męce:
»Męczenników ty rodzie,
Błakający się w cieniach,
Wznies już czoło w pogodzie,
Skap skroń w szczęścia promieniach,
W róż ustrój ją kwiat!«

Zdało mi się — szczęśliwy
Wiek się począł dla ziemi,
Pokłoniły się niwy
Zbóż falami złotemi,
Miecze skuto w lemiesze,
Braćmi — ludów są rzesze,
Łzy nędzarzom otarto,
Pierś zgojono rozdarta,
Odrodził się świat.

Zdało mi się — szmer głuchy
Przebiegł lądów przestrzenie,
Nowe budzą się duchy,
Nowych myśli promienie.
Odmłodzona w ich zorzy,
Ludzkość wstaje znów, tworzy,
W napowietrzne obszary
Wznosi zwycięstw sztandary,
Na gwiazdach jej tron!

Zdało mi się — hymn zgody,
 Wiecznej bratniej miłości
 Wkrąg zawiodły narody
 I — pieśń brzmiała w wieczności.
 I błękity, i słońce,
 I gwiazd srebrnych tysiące
 Z upojeniem słuchały,
 Gdy tej pieśni wspaniałej
 Doleciał ich ton.

* * *

Zdało mi się — ha, zdało!
 W koło cisza tak głucha,
 Ból na sercu legł skałą,
 Łódź strzaskała się krucha.
 Myśli moje, sokoły,
 Lot skończyły wesoły,
 Mgła całunem opadła
 I zakryła widziadła
 Od rajskich snadź bram.

Zdało mi się — niestety!
 Czemuż tylko się zdało?
 W koło ludów szkielety
 Z duszą nędzną, skarłałą,
 W jarzma kładą swe karki,
 Pod bat dają swe barki,
 Byle chleb był, biesiada...
 Och, nierządnic gromada!
 Przeklinam i łkam!

Zdało mi się! — Ból zgrzyta
 W piersi mojej szalony.
 Czyż to jutro zaświta?
 Ujrzą-ż wolność miliony?

Spadną-ż pęta, kajdany?
 Znikną-ż chłopcy i pany?
 Zmilkną-ż płacze i jęki?
 Z nędz drapieżnej paszczeni
 Czyż wyrwie się człek?

Zdało mi się! — Rozpaczy!
 Chyba tylko w marzeniu
 Oko znów to zobaczy...
 Niebo w krwawym płomieniu,
 Bratobójcze mkną hordy,
 Krew, a trupy, a mordy,
 Dymy, zgłiszczają pożary,
 Gwałtu wstrętne sztandary
 Podnosi nasz wiek!

Zdało mi się! — Łazarzy,
 W gnoju, wrzodach i ranach,
 U stóp złotych ołtarzy
 Widzę mrących w łachmanach.
 Gdzież są serca? — Miłości,
 Ziemia ciebie nie gości,
 Dzisiaj jeszcze tyś mara,
 Którą chyba trza z wiarą
 W przyszłości dni snuć.

Zdało mi się — i z duszy
 Snów pierzchają łabędzie.
 Lecz choć serce ból kruszy,
 Drżące wznoszę orędzie:
 »Zbudź się, zbudź się, ludzkości,
 I zapragnij miłości,
 Tkliwie otwórz ramiona,
 Wszystkich przytul do łona — —
 Ach, zbudź się, o, zbudź!«

MIRIAM.

PRÓBKI Z ANTOLOGII POETÓW CZESKICH XIX WIEKU.

Z »RÓŻY STULISTNEJ«

FRANCISZKA WŁADYSŁAWA CZELAKOWSKIEGO.*)

2.

Śród róż czuwam, śnię — gdy jary
 Świt mię pieści ambłą tchnień,
 Złotem tkane swe sztandary
 Gdy nad głową wznosi dzień.

Śród róż czuwam, śnię — gdy płyną
 Po jeziorze lekkie mgły,
 Gdy pod wieczór mkną dolina
 Świetlakowe modre skry.

Lecz gdy przez głąb' niebios gwiezdna
 Boskiej chwały błysnie bezdno,
 Przypomina gwiazd mi straż
 Blask — nieśmiertelniki! — wasz.

14.

Taki na mnie czar rzuciła
 W róż altance wonnej raz,

Że pamięci, zmysłów siła
 Rozpierzchła się na ten czas.

Gubię słowa, płacząc zdania,
 Wreszcie — co wiem już bez słów —
 W błogim szale rozkochania,
 Czy mię kocha, pytam znów.

Nie wiem: kwiaty-ż to westchnęły,
 Czy usteczka jej szepnęły,
 Do ust moich lgnące w krzyż,
 Trzykroć słodkie: »Ty to wiesz!«

26.

Dobra noc — a nim twych oczek
 Ranka świt różany tknie,
 Niech amorków lekki krocze
 Wciąż pobrzmiewa w twoim śnie.

*) Čelakovský, najklasycniejszy obok Kollara autor z drugiej — według Tieftrunka — epoki (1820—1850) literackiego odrodzenia czeskiego w wieku bieżącym. (Przypisek Redakcyi).

Niech cię tula, pieszczą tkliwie,
 Niech swawolą, drażnią, gżą:
 Gdy wszak ujrzysz, iż zdradliwie
 Uskrzydłone chłopię to,

Zaczaiwszy się u kuszczu,
 Grot w serduszko twoje puszcza,
 Na pomoc mą wołaj moc,
 Kochanko ma — dobra noc!

28.

Znam ją — serce ku żalobie —
 Z przerywanych łkaniem słów,
 Z bólu, z łez tajonych w sobie,
 Z wąpień, próśb, z nadziei znów;

Znam ją — nie z tych ongi wrzących,
 Jako gwiazd ognisty smug,
 Ale z tych na ustach mrących
 Pocałunków, bólu, trwóg;

Znam ją z uściśnienia ręki
 I z ostatnich westchnień męki,
 Tę niewolę wolnych drgnień,
 Przebolesny rozstań dzień.

32.

Wszędy mi twe liczko świta
 W urzeczonych myśli grze;
 Ucho słyszy, oko czyta
 Wszędzie drogie imię twe.

W gęstej liści — tam — zasłonie
 Oczek twych mi błyska żar,
 Tu mi z krza różyczek płonie
 Wdzięczny ustek twoich czar.

Czyż dziw, że, gdzie stąpie, we dnie
 Imię twoje słodkie, przednie
 Na niw kwietny składam strój,
 W nocy — między gwiazdek rój.

51.

Sercem zimnem, umem suchym
 Gdy za prawdą będziesz gnał,
 Poznasz tylko w szumie głuchym
 Odgłos kroków swych wśród skał.

Patrz, jak dziwne stworzeń zwitki!
 W cichym tym dokoła śnie
 Wszystko, do najskrytszej nitki,
 Czuwa, gore, płonie, wre.

Wszędzie prawdy potok lśniący
 Źródło ma w miłości wrzącej,
 A ty, pieśni, mocą swą
 W postać żywą zmieniasz go.

74.

Żegnaj, słońce! Noc miesięczna
 Na śpiewny już wabi łów,
 Tajemnicza, jasna, wdzięczna,
 Noc, jak wizya wieszczych snów!

Ciszę przerwie tylko czasem
 Słowik tęskną pieśnią swą,
 A gdy błysnie świt za lasem,
 Z pól przepiórcze głosy brzmia.

Ach! już w dymnem mieście ludzie
 Budzą się i dręczą w trudzie,
 By jeść troskom swoim dać.
 Witaj, słońce! — idą spać.

76.

Gdy szeleści deszczyk cichy
 W odmłodzonych liściach brzóz;
 Gdy wśród kłosów — szepty, śmiechy
 Budzi kłótnia winnych łóz;

Gdy za falą fala pluszcze
 Na jeziorze wzdętem z dna;
 Gdy wiatr zgina drzewa, kuszcze
 I w jesiennym zmroku łka:

Rozkochane serca wiodą
 Tan pod takt twój, o przyrodo,
 Umiejąca mir i swar
 W dziwnej gęźby łączyć czar!

77.

Chram snów moich — utajony
 U źródełka pośród skał,
 Gdzie nademną dęby, klony
 Strzech zielonych tkają zwał.

Gdy milczenie się rozkłada
 Na powietrznych szczytach gór,
 Dzień sam trwożnie tu się wkrada
 Przez splot liści, przez skał mur.

Wielka cisza! — bliższe, bliższe
 Tuż nad głową szumy słyszę:
 Twe to, czasie, skrzydło mknie
 W słodkim śpiącej duszy śnie.

79.

W cichej wiosce, w borach skrytej,
 Anioł Pański przebrzmiał już,
 I dzień letni za gór szczyty
 Schylił czoło w wieńcu róż.

Jako wodza tarcz złocista,
 Księżyc sieje blasków czar:
 Duszo świata wiekuista,
 Zlej mir w uczuć moich swar.

Ścisz ich wir swej pieśni zwrotką,
 Dozwól, niech obecność słodką
 Serce moje pozna twą
 I w harmonię spłynie z nią.

80.

Niech mi morze łódź żywota
 Rzuca, kręci, jako chce,
 Niech mię burza wściekła miota,
 Niech żywiołów swar wkrąg wre:

WOJCIECH KOSSAK.



PICCOLA,
kucka faworyta 13 pulku.

Ja, spełniając przeznaczenie,
 Jakie dla mnie Stwórca rzekł,
 Śpieszę w dal nieustraszenie,
 Gdzie mnie czeka port i brzeg.

Rozjaśniając mroki nocy,
 Trójką gwiazdą tajnej mocy
 Wiara, miłość — po za mgłą —
 Z nadzieją mi w górze lśnią.

83.

Czy nam los przeznaczył dołę
 Wielkich panów czy też sług,
 Lecz do czynu wolne pole
 Dał każdemu — i sto dróg.

W niepamięci ciemne kraje
 Z darmozjadów każdy padł:
 Szczęsny, kto swej ziemi daje
 Jeden szczep choć, jeden kwiat!

Komu przypadł los mniej świetny,
 Niech w pilności ten szlachetnej
 Dla pańników przyszłych pór
 Równa chociaż drogi tór.

85.

W pamiętniku J. V.

By twe imię długie lata
 I z ust wszystkich brzmiało wkrag,
 Niedosć siła twa bogata:
 Dar to wielki z bóstwa rąk!

Ani też, by trąba chwały
 Wieść o tobie niosła w gmin,
 Żeś syn ludu doskonały,
 Że ozdobą dlań twój czyn.

W każde wszakże swoje dzieło
 Tchnienie twórcy władzę tchnęło,
 Że rodzinie może cześć,
 A krajowi szczęście nieść.

87.

Ziemio, chrzczona w krwi i pocie!
 Wielkich mężów matko cna!
 Patrz! po tylu burz przelocie
 Jeszcze plemię twoje trwa!

Cel twych miast był niejałowy:
 Dobić się do sławy wrót;
 Co wieś — tęgie były głowy,
 Bohaterów ród — co gród.

W tych wulkanów dawnej ery
 Zasypane wpół kratery
 Palacki, pochodnią świeć,
 Żar miłości dawnej nieć!

88.

Szkoda róży, której kwiecie
 Bez słowiczych zwiędło pień,

Szkoda krasy, co na świecie
 Bez poety zaszła w cień.

Toż nie chwale przodków doby,
 Co dla krasy mieli śmiech,
 W pobielane wierząc groby,
 Nierozumnie czcili szych.

Ich niebiańskie: »Wszelka sława,
 Wszelka krasa — polna trawa!«
 Synów omal głupstwem swem
 Nie posłało dyabłom wszem.

90.

»Jakiż czar cię wiedzie, bracie,
 Przez żywota ciężki tór,
 Że na myśli twoich szacie
 Nie znać nigdy smutku chmur?«

Wstrzemięźliwość, która wraca
 To, co byłbym stracić mógł;
 Potem — wolna, stała praca,
 Duszy mojej druh i Bóg.

Pod ich strażą, drwię bez granic
 Ze służalców, mając za nic
 Pałacowych blaski pych
 I mydlanych baniek szych.

91.

Głupstwy umysł baw niewarty,
 Jeśli-c obcym wyższy szlak;
 Gra w bilardy, szachy, karty
 Niegodny to męża smak.

Czyż nie w lepszą grę o wiele
 Z tobą czas gra, mocny pan?
 Dzielny pan! co ma wesele,
 Jeśli został chwacko zgran.

Lecz sam wygra? Naksztalt śmieci
 Precz wymiata stare dzieci,
 Co nie wiedzą, po co są
 Tu na świecie, po co mra.

92.

Nie próżniacze to zapaly
 Stworzą przyszłość i snadź raj:
 Pracy cichej, wspólnej, stałej
 Potrzebuje, żąda kraj.

Gdyby każdy w ziemię włożyć
 Jedno zdrowe ziarno chciał,
 Wkrótce by się mógł ostożyc
 Dwór, co dotąd pustką stał.

Kto wszak próżną chlubą dmie się,
 Plew koszyki na targ niesie,
 Z nadziejami tego wraz
 Szybko zwieje wichur-czas.

93.

Bujny rumak — nasza mowa,
Z dobrych ras, bez skaz i win
Po świecie się trwożnie snowa,
Jak wolności drogiej syn.

Głowę dumnie nosi górą,
Okiem błysnie — gromu cios,
Z nozdrzy dym, skry lecą chmura,
Jako jedwab świeci włos.

Gdy w dal pędzi, długa grzywa
Z wiatrem — het — swawolnie pływa,
Gdy wszak staje, zwalnia krok,
Tańczy w rytmów greckich tok.

94.

Gdy ujeżdża na nim wokół
Mistrz, co sztukę swoją zna,
On jak jasny wzłata sokół,
Aż ci serce w piersi drga!

Biada wszakże, gdy pyszałek
Nierozumny gnać go chce:
Zaraz w prochu legnie śmiałek,
Hańbą skończy jazdy swe.

W systematów tak też narów,
Po niemiecku, jego żarów
Po wieków nie wdrożysz wiek,
Choćbyś, brachu, się i wściekł!

95.

Czyliż kto wprost z ziemi wsadza
Drogi kamień w złoty strój?
Naprzód ciesze go, wygladza
I kształt mu nadaje swój.

Tu dopiero ty, złotniku,
W klejnot zręcznie wprawiasz go:
Mistrzu! w pięknym wyłóż szyku
Zdobycz myśli swojej cną.

Język czcuj od wiedzy niemniej,
Ożyw ją nim, uprzyjemnij,
Jeśli trafić chcesz do łon
I stokrotny odnieść plon.

99.

»Nad rzekami Babilonu — «
Drużko ma, ten piej mi śpiew!
Spadnie z duszy mrok — i dzwonu
Głosem wionie wiary wiew.

Nad rzekami Babilonu
Trupio lud nasz w bólu stęgl.
Do prorockiej harfy tonu
Stroi się i naszej jęk.

Nędzna córo Babilonu!
Oto pomoc od Syonu
Zbliża się, odpłaci Pan
Ból i gorycz twoich ran.

Z czeskiego przełożył MIRIAM.

O SATYRACH KRASICKIEGO.

Myszeis, Monachomachia i Antymonachomachia są wymierzone przeciwko staroświeckiemu społeczeństwu, jego przywarom, jego próżniactwu i anarchiczności; satyry wymierzone są nie zupełnie wprawdzie, ale przeważnie w przeciwną stronę, w stronę nowej, modnej oświaty, nowych obyczajów, a dawne czasy przedstawiane tam są nieraz, jako wzór do naśladowania dla współczesnych. Dodajmy do tego, że satyry ukazują się w tym samym roku, co Monachomachia, że to nie są zatem utwory z dwóch różnych okresów życia poety pochodzące. Ta niezgodność kierunków w utworach współczesnych Krasickiego, zastanawiała krytyków. Rozważając ją p. Chmielowski wywnioskował, »że Krasicki w rozwoju pojęć swoich nie doszedł do jakichś stałych zasad rozumowych, któreby mu dawały nieomylną wskazówkę w rozplątywaniu powikłanych węzłów myśli i stosunków ludzkich«. P. Nehring twierdził, że »ta sprzeczność nie da się zupełnie usunąć«, że da się tylko objaśnić rozmaitem usposobieniem poety, tem, że »w Monachomachii chciał tylko bawić, w satyrach zaś chciał uczyć«.

Owoż ta rozmaitość kierunków nie ma nic w sobie niezgodnego i wypływa — mojem zdaniem — nie z braku stałych zasad rozumowych, ale właśnie z zasady stałej, której Krasicki wierny był całe życie, która znajdowała dla siebie grunt dobry w jego temperamencie i charakterze, z zasady: trzymania się we wszystkim środka i miary. Człowiek tak spokojny, jak Krasicki, tak mało palony ambicyą, z takim za-

dowoleniem usuwający się z targowiska ludzkiego na ustronne stanowisko, z którego by mógł się przypatrywać zabiegom ludzkim, taki człowiek patrząc na dwa światy, na które dzieliło się ówczesne społeczeństwo polskie, widział doskonale niedostatki jednego i drugiego świata. Z jednej strony ciemnotę, niesłychane lenistwo umysłowe, i te wszystkie przywary, które widzimy wysmiane w trzech poematach komicznych; z drugiej rozluźnienie moralne, wypływające z zachwiania się podstaw religijnych, płytkie niedowiarstwo, niewolniczą uległość obczyźnie i wiele innych złych i śmiesznych stron nowego świata. Jakże się miał zachować Krasicki wobec tych dwóch światów? Występować przeciwko jednemu z nich tylko, znaczyłoby to godzić się ze wszystkim z drugim światem: a on chciał ze starożytności wziąć to, co było dobre i połączyć z tem, co było dobre w nowym świecie, resztę zaś w jednym i drugim świecie starał się tępić. Dlatego wystąpił kolejno, albo raczej jednocześnie i przeciw jednemu i przeciw drugiemu i był w tem zupełnie zgodny i ze stanowiskiem Konarskiego i ze stanowiskiem *Monitora*, do którego sam niegdyś należał.

Że tak Krasicki rozumiał swoje zadanie, że to nie jest tylko podsuwanie mu myśli, której nie miał, o tem świadczy najlepiej jedna z satyr jego (S. II. Cz. II.) p. t.: »Pochwała wieku«. W ulubionej formie Krasickiego, dyalogowej, jest tu rozstrząsane pytanie: czy lepiej jest teraz, czy lepiej było dawniej? t. j. czy lepszy jest obecny wiek oświaty, czy świeżo ubiegły

wiek ciemnoty? Z początku porównanie obraca się w ogólnikach, które mało mają wyraźnego zastosowania do chwili współczesnej, ale pod koniec nabiera barw konkretnych, realnych i sąd Krasickiego, z tego porównania wynikający, staje się bardzo wyraźnym.

Uderza on naprzód na tę modną literaturę, łakomie rozchwytywaną, w której »niby gazą kryte wyrazy wszeteczne«, w której »fałszywe modnym tonem« wypowiedziane, »błuznierstwa grzeczne«, »zbiory anegdot czytania niegodne«, potwarze »pod nazwiskiem żartów dowcipnych« i t. p.; a dalej powiada jak to było dawniej:

Nim dyabła Bohomolec dał w swojej postaci,
Wieleż książek, powieści o strasznych poczwarach,
O wróżbach, zabobonach, upiorach i czarach,
Trwożyły naszych ojców! Ujawszy gromnicę,
Palił ławnik z burmistrzem w rynku czarownicę;
Chcąc jednak pierwiej dociec zupełnej pewności,
Pławił ją na powrozie w stawie podstarości.
Zdejmowały uroki stare baby dziecku,
Skakał na pustej baszcie dyabeł po niemiecku:
Krzewiły się koltuny czarami nadane,
Gadały po francusku baby opętane:
A czkając po krążgankach na miejscach cudownych,
Nabawiały patrzących strachów niewymownych.

A teraz sąd, który z tego porównania wypływa.

Co zbyt niemiłowolnie upodział wiek przeszły,
W teraźniejszym podłaje te przywary zeszyły;
Ale też zbyt porywczym zaciekłszy się pędem,
Często gdy błąd poprawia, śmie prawdę zwać błędem.
Roztropną zdania nasze szalą trzeba mierzyć,
Żle jest nadto dowierzać, gorzej nic nie wierzyć,
Że się obrzask pokaże w źle chowanym winie,
Nie likwor temu winien, ale złe naczynie.
Trafia się plód odrodny choć cnotliwej matki,
A dzikich latorośli poziome ostatki
Gdy ucina ogrodnik, drzewu to nie szkodzi,
Owszem piękniej wybuja, lepszy owoc rodzi.

Tem drzewem, o którym tu poeta mówi jest religia, religia chrześcijańska. Obcinać to wszystko, co na niej dziko wyrasta, postępować tak, jak on sam to czynił w Monachomachii i Antymonachomachii, to drzewu nic nie szkodzi, i owszem, pięknie wybuja i będzie lepszy owoc rodziło; ale gdy kto chce jej korzenie zacinąć, niszczyć, obalać religię, temu powiada w następnym wierszu: »Jest granica, za którą przechodzić nie wolno«.

A zatem Krasicki jest ten sam w Satyrach, co w Monachomachii. Jeżeli tam powiada »trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty«, to i tutaj domaga się nauki i oświaty:

Mając porę, ochotę i sposobność zdolną,
Dociekajmy, co możemy, co dociec się godzi:
Wiek nasz w wielu odkryciach dawniejsze przechodzi,
Dzień dniu prawdę obwieszcza, godzinom godziny:
Z pracy ojców szczęśliwe korzystają syny.
A do zdatnego rzeczy stosując użycia,
Nowe wiekom późniejszym gotują odkrycia.

A kiedy interlokutor, chcąc wycisnąć z niego sąd stanowczy, pyta go: Więc jakże? więc teraz lepiej jest, niż było dawniej? poeta odpowiada mu i kończy swoją satyrę wierszem: »Sądz, jak chcesz; może lepiej, może też i gorzej«. Nie jest to odpowiedź niejasna, bo cała satyra, bo wszystkie satyry poety są komentarzem do tego wiersza. Znaczy to: jest lepiej, o ile pierzchają dawne przesady, dawna ciemnota; jest gorzej, o ile się psuje obyczaj, o ile się naruszają podstawy religijne, o ile nowa oświata staje się po złotą zepsucia i fanfaronady. Czy Krasicki wiedział, że taki wielki przełom w pojęciach, jaki zachodził

wtedy w naszym społeczeństwie, nie mógł nie pociągnąć za sobą ujemnych następstw, że to był naturalny bieg rzeczy? Zapewne nie; ale tem lepiej, bo mógł z tem większem przekonaniem uderzyć w swoich satyrach na ujemne strony nowego kierunku i wiele się przyczynić do ograniczenia ich doniosłości.

Spojrźmy teraz na cały obszar tych satyr. Podzielił je poeta wzorem rzymskich satyryków na części. Część pierwsza obejmuje satyr 11, część druga 10; oprócz tego na czele satyr umieścił wiersz do króla, który miał być jakoby satyrą na niego: »Pozwolisz mości królu, że od ciebie zacznę«. Ale ta pozorna satyra jest tylko pochwałą i obroną króla od zarzutów i niechęci, jakie ku niemu żywiło szlacheckie społeczeństwo. Pochwała nieprzesadna i obrona słuszna; tych zarzutów, jakie słusznie można było robić Stan. Augustowi, Krasicki nie poruszał, więc też i nie chwalił go za to, za co go chwalić nie można było. »Jesteś królem, a czemu nie królewskim synem?« »Jesteś królem, a byłeś przedtem mości panem«. »Tyś królem, czemu nie ja?« »Żle, żeś Polak, źle, żeś młody«, oto są zarzuty, które poeta powtarza za głosem publicznym, a do nich dodaje swoje: Nie pamiętasz o tem, że król nie człowiek, chcesz mieć przyjaciół, chcesz, aby cię kochali, a tymczasem bać się ciebie powinni. Wreszcie: »księgi lubisz i w ludziach kochasz się uczonych«. Właściwie wiersz ten był satyrą nie na króla, ale na społeczeństwo, które nie chciało uznać dobrych chęci w królu i wszystko złe w nim widziało.

Układ satyr nie jest przypadkowy, ale obmyślany. Satyra pierwsza p. t.: *Świat zepsuty*, jest niejako wstępem do wszystkich satyr, w których poeta daje przegląd całego pola satyrycznego, objaśnia dla czego chwycił pióro satyryczne i wytyka główny kierunek swojej satyrze. Odgrywa ona tutaj taką rolę, jaką w zbiorze satyr Juwenala także pierwsza satyra z owym sławnym *Difficile est satiram non scribere* — i z owym drugim sławnym wyrażeniem: *Si natura negat, facit indignatio versum*. Odpowiada też owym wyrażeniom początek satyry Krasickiego: »Wolno szaleć młodzieży, wolno starym zwodzić — Wolno się na czas żenić, wolno i rozwodzić. — Godzi się kraść ojczyznę łatwą i powolną, — A mnie sarkać na takie bezprawia niewolno? — Niech się miota złość na cię i chytrość bezczelna — Ty mów prawdę, mów śmiało, satyro rzetelna«.

Co więcej, nastrój, ton oburzenia w całej satyrze jest iście Juwenalowski. Takiego tonu nie ma w innych satyrach, nie ma w ogóle gdzieindziej w poezji Krasickiego. Skądże się wziął w tej pierwszej satyrze? Można przypuścić, że natchnienie przyniosł mu Juwenalis, ale trzeba zarazem stwierdzić, że natchnienie było prawdziwe, że ton oburzenia jest szczery, a ztąd wniosek, że w pewnych, wyjątkowych chwilach dusza Krasickiego zdolną była wznieść się do wysokiej skali liryzmu. A cóż wywołuje w nim takie oburzenie? Przeciw czemu ma się zwrócić jego satyra? Nie przeciw dawnej ciemnocie i przesadom, bo tamte już pokonane, trzymają się jeszcze, ale muszą ustąpić przed światłem wieku, ale przeciwko temu, co z nową oświatą, co niejako pod jej sztandarem wpłynęło złego do Polski: bezbożności, rozpucie, cynizmowi. Trzeba przypuścić, że to, co Krasicki sam widział w Warszawie w czasach rozbiorowych i porozbiorowych, lub to co słyszał o niej, musiało go silnie zatrwożyć i wyrwać przynajmniej na chwilę ze stanowiska spo-